



TĘDY PROWADZI TRASA

.... trzeciego raidu narciarsko-turystycznego PTTK. Fotoreportaż z raidu, który odbył się niedawno w pięknych górach wałbrzyskich i kłodzkich, zamieszczamy na str. 18.

Fot. „Świat” — K. Jarochowski

PRZEDSTAWICIELOM państw zachodnich w Berlinie bardzo się nie spodobał radziecki projekt utrwalenia bezpieczeństwa Europy. Szczególnie ten projekt dotyczący Europy nie spodobał się amerykańskiemu sekretarzowi stanu — Dullesowi. On to nakazał obu pozostałym ministrom Zachodu przybranie wobec pozycji Mołotowa postawy niechętniej albo wręcz wrogoj. Zdawać by się mogło, że amerykański minister spraw zagranicznych mało powinien mieć do gadania w sprawie bezpieczeństwa innego kontynentu. Ale tak może się wydawać tylko ludziom niedobrze znającym prawa rządzące tamtym światem.

Równość, demokracja, wolność i inne takie rzeczy w tamtym świecie mają swoje specjalne znaczenie. Mówił o tym jeszcze na początku konferencji minister Mołotow. Wiele się słyszy o obradach ministrów zachodnio-europejskich, decydujących o sprawach europejskich, w których to obradach głos decydujący ma przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Nigdy natomiast nie słyszeliśmy, ażeby w czasie takich obrad mówiło się cokolwiek o „prawach amerykańskich”. Wzajemne stosunki państw Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych polegają na tym, że Stany Zjednoczone mogą decydować i decydują o najważniejszych sprawach narodów Europy, a za to rządy zachodnio-europejskie nie mają prawa wtrącać się w sprawy amerykańskie.

REALIZUJĄC tę zasadę „wspólnoty europejskiej” Dulles nakazał odrzucić propozycję radziecką, dotyczącą bezpieczeństwa całej Europy. Mołotow mówił bowiem o całej Europie, licząc, jak wiadomo, trzydzieści dwa państwa, podczas gdy układy o „wspólnocie europejskiej” obejmują sześć państw. Innymi słowy: propozycja radziecka dotyczy całej Europy, a polityka amerykańska przyczółków mostowych tegoż kontynentu.

Już na tych przyczółkach, we Francji na przykład czy we Włoszech, imperialiści amerykańscy nie czują się najlepiej. Już na tych przyczółkach widać sprzeczność polityki amerykańskiej z prawdziwymi interesami i uczuciami narodów Europy; a coś dopiero mówić o głębi kontynentu? Tedy dla imperialistów amerykańskich słowo „Europa” oznacza tylko nazwę określonej operacji polityczno-strategicznej, podczas gdy dla nas stanowi coś bardzo bliskiego. Dla nas Europa to nie, jak dla nich, porty i bazy, ale pięćset milionów ludzi, to historia i kultura, z którą jesteśmy tak mocno związani.

Europa bez Weimaru, w którym mieszkał Goethe, naprawdę wielki Europejczyk swojej epoki. Europa bez ojczyzny takich wielkich Europejczyków, jakimi byli Kopernik, Mickiewicz, Chopin, Józef Dąbrowski i Maria Curie. Europa bez Czech, bez ojczyzny Husa. Europa bez Szwajcarii, w

której ongiś Wilhelm Tell dał przykład, jak walczyć trzeba z najeźdźcami. Europa bez Grecji, pohańbiczej dziś przez imperialistów, ale dumnej i niezłomnej kolebki naszej cywilizacji, bez ojczyzny Homera, Sofoklesa, Arystofanesa, Eurypidesa, Sokratesa i Platona, bez ojczyzny wielkiego Heraklita, Fidiasza, Mirona i tysięcy anonimowych twórców najpiękniejszych dzieł, jakie zna ludzkość.

Europa bez Rosji, Ukrainy i Białorusi, Europa bez Puszkina, Gogola, Tołstoja, Gorkiego i Majakowskiego, a nade wszystko Europa bez Rewolucji Październikowej, bez orłów myśli ludzkiej — bez Lenina i Stalina, bez partii bolszewickiej, bez kraju komunizmu...

Niech sobie ten swój spisek przeciwko pokojowi i przeciwko narodom nazywają jak chcą. Swoim przyczółkiem mostowym, swoją bazą, swoim lotniskiem czy lotniskowcem — tylko nie Europą. Bo Europa to wielka część świata, która nie może istnieć bez Hradczynu, Wawelu, Kremla, Akropolu. Granicą Europy nie jest i nie będzie Łaba. Granice Europy wyznaczyła geografia i historia.

WŚWIADOMOŚCI narodów europejskich nie ma żadnych wątpliwości co do tego, kto ma większe prawo do współdecydowania o losach Europy: czy Szolochow, Lepieszynska, obrońcy Stalingradu, Szostakowicz — czy senator MacCarthy, podejrzany polityk amerykański z Texasu, lub też banda gangsterów z Chicago. Radziecka propozycja, dotycząca bezpieczeństwa Europy, przypominała nam Europejczykom, wszystkim narodom i ludziom, o wielkiej, łączącej nas wspólnotcie. Jest to nie tylko wspólnota przeszłości historycznej, ale i żywa wspólnota kulturalna i gospodarcza, a nade wszystko wspólnota losów w zakresie wojny i pokoju. Nie ma wojny w Europie, która by ominęła jakiegokolwiek kraj tego kontynentu choćby pośrednio nie dotykając go. Niepodzielny pokój europejski stanowi zgodne dążenie wszystkich mieszkańców tej starej części świata. Koncepcja zjednoczenia sześciu państw pod komendą amerykańską nie ma nic wspólnego z dążeniem do zjednoczenia Europy. Jest to koncepcja realizacji na naszym terenie tezy Eisenhowera, którą próbowali Amerykanie daremnie realizować w Azji, dążąc do wywołania takiej wojny, w której by Azjaci bili się z Azjatami, a z której amerykańskie monopole ciągnęłyby swoje zyski.

„Europejska Wspólnota Obronna” to nie co innego jak dążenie do utrwalenia podziału Europy, do wytworzenia sytuacji, w której Europejczycy biliby się z Europejczykami — również w interesie amerykańskich monopolów. Propozycja Mołotowa zdemaskowała dążenia polityki amerykańskiej całorowicie. Walka narodów Europy o pokój w Europie przybiera na sile.

JAN SZELĄG



Minister Spraw Zagranicznych ZSRR, Wacław Mołotow, i Ambasador Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Jan Izidorczyk, na lotnisku Schönefeld w Berlinie

JEDNA z radzieckich konferencji prasowych zakończył rzecznik prasowy delegacji ZSRR, F. I. Iljiczew:

„Na tym kończę dzisiejszą lekcję geografii”.

Była to aluzja do pytań, zadawanych przez korespondentów amerykańskich, którzy chcieli się dowiedzieć, dlaczego — według propozycji złożonych przez ministra Mołotowa 10.II.1954 — Związek Radziecki ma brać bezpośredni udział w organizacji zbiorowego bezpieczeństwa Europy, a Stany Zjednoczone wraz z Chinami Ludowymi tylko pośrednio.

Korespondenci amerykańscy nie mogli pojąć geograficznego faktu, że Moskwa — podobnie jak Helsinki, Kijów czy Sofia — leży w Europie, natomiast Waszyngton oddzielony jest od Europy Oceanem Atlantyckim, tak jak Pekin połową azjatyckiego lądu. Naturalnie, że jeśli ktoś nie chce pojąć tak oczywistych faktów, to wówczas musi, jak p. Dulles na berlińskiej konferencji, dojść do wniosku, że w Europie prawo do zabezpieczenia swoich interesów mają Amerykanie, lecz w żadnym wypadku nie Europejczycy.

Słaba znajomość geografii wśród politycznych wysłanników prezydenta Eisenhowera na konferencję berlińską nie po raz pierwszy występowała w sposób tak groteskowy. Pamiętam, jak zaraz na początku konferencji p. Dulles oświadczył, że nie uznaje 500 milionów Chińczyków w Azji, uznaje bowiem tylko piratów chińskich osiadłych na wyspie Taiwan.

Tymczasem tak jak Chiny nie zaczynają się ani nie kończą na wyspie Taiwan, podobnie Europa nie zaczyna się ani nie kończy na Łabie.

O BEZPIECZEŃSTWO WSZYSTKICH NARODÓW

EDMUND J. OŚMAŃCZYK

II

Po tym geograficznym wstępie można przejść do sedna spraw rozważanych na konferencji berlińskiej.

Sednem tym jest sprawa zabezpieczenia narodów świata przed nowymi kontynentalnymi i międzykontynentalnymi wojnami.

Kiedy w roku 1945 w Poczdamie odbywała się konferencja zwycięskich mocarstw, wówczas — rzecz prosta — pierwsze miejsce zajmowała sprawa pokonanych hitlerowskich Niemiec. W 9 lat później sprawa Niemiec musi być rozpatrywana na tle ogromu przemian, które w ciągu minionych powojennych lat wycisnęły swoje piętno na życiu międzynarodowym.

Dwa główne czynniki tej przemiany, to:

1 Powstanie 800-milionowego obozu pokoju pod przewodnictwem Związku Radzieckiego i Chin Ludowych.

2 Zorganizowanie się antypokoju wych sił świata kapitalistycznego pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych.

Wynik działalności sił antypokojo-

Minister Spraw Zagranicznych Austrii, dr Figl (drugi od lewej), w otoczeniu swych współpracowników. W środku: austriacki sekretarz Stanu, dr Kreyski



ENCJE WŁASNE „ŚWIATA” Z BERLINA



Dziennikarze z krajów zachodnich w ambasadzie Związku Radzieckiego. W wielkiej sali przyjęć przykuwa uwagę piękny witraż, przedstawiający wieżę Kremla

wych: podział Niemiec. Europy i świata, zimna wojna, próby gorącej wojny w Korei, próby dławienia oporu narodów kolonialnych w Wietnamie, Porto Rico, w Kenii, Gujanie, Iranie, Egipcie, Indonezji, na Malajach, w Południowej Afryce, na Złotym Wybrzeżu, w Sudanie...

Wynik działalności obozu krajów pokoju, popartego przez narody całego świata: zawieszenie broni w Korei, wzmożenie walk wyzwolenczych narodów kolonialnych i — konferencja berlińska.

W dzień po zawieszeniu broni w Korei w jednym z amerykańskich dzienników przeczytałem nagłówek: „Grozi nam kryzys gospodarczy!”.

W dniu rozpoczęcia konferencji berlińskiej w statecznym dzienniku finansjery zachodnio-niemieckiej przeczytałem: „Fakt, że Konferencja Czterech doszła do skutku, oznacza już jedno: sytuacja międzynarodowa po konferencji będzie zupełnie odmienna od obecnej. Status quo jest niemożliwe do utrzymania”.

Status quo, to znaczy zimna wojna, szpikowana gorącymi, piekielnymi wojnami, podsycana nadziejami businessmenów, totalna dyplomacja amerykańska (termin oficjalny; ukuty przez zapomnianą pamięć poprzednika p. Dulles, p. Dean Achesona) — może doprowadzić do totalnego samobójstwa atomowego cały świat.

III

Konferencja berlińska doszła do skutku wbrew woli totalnych dyplomatów, natomiast dzięki woli pokoju Związku Radzieckiego, Chin Ludowych, krajów demokracji ludowej oraz narodów kapitalistycznego świata, popierających obóz pokoju. To, co piszę, wydaje się może ludziom naiwnym lub zaślepionym zbyt jaskrawym uproszczeniem. Pozwólcie jednak, że pozostanę przy tym twierdzeniu obserwatora na trzytygodniowej, bardzo uważnie śledzonej konferencji w Berlinie. I choć nie wiem, czym zakończy się ta konferencja, w chwili, gdy piszę te słowa — 13 lutego 1954 — wiem już na pewno, że:

po pierwsze, nie ma powrotu do sytuacji międzynarodowej, która była przed konferencją;

po drugie, nie ma mowy o tym, by idea zbiorowego bezpieczeństwa, zgłoszona przez obóz pokoju na konferencji berlińskiej, mogła być przekreślona przez trzech ludzi, za którymi stoi kilka tysięcy najbogatszych rodzin świata. O realizację idei bezpieczeństwa ogólnego walczyć będą dziesiątki tysięcy najrozsądniejszych polityków i mężów stanu całego świata, popartych przez setki milionów ludzi miłujących pokój, jak uśmiech dzieci, jak zapach kwiatów na wiosnę, jak chwilę odpoczynku po pracy i jak wszystko, co jest życiem.

IV

W czwartek, 10 lutego 1954, totalny dyplomata Stanów, zjednoczonych przez Waszyngtona, a podzielonych przez Mac Carthy'ego, p. Dulles, powiedział prawie dosłownie tak:

„Jesteśmy przeciwko bezpieczeństwu zbiorowemu narodów Europy, ponieważ tylko podział Europy pozwala nam, Amerykanom, na okupowanie zachodniej Europy przez wschodnią Amerykę” (Wall-Street i Waszyngton znajdują się po wschodniej stronie Stanów Zjednoczonych).

„Europa jest zaś podzielona i świat jest podzielony — mówił dalej p. Dulles — ponieważ to, co stanowi treść Związku Radzieckiego, objęło nie tylko Związek Radziecki, lecz w sumie już 1/3 świata”.

Co stanowi istotną treść polityki Związku Radzieckiego? Przede wszystkim pokój i wraz z nim wolność od głodu, wyzysku i przemocy jednej klasy nad drugą, jednego narodu nad drugim. Przeciwnie temu protestuje p. Dulles.

Z kolei zabrał głos totalny dyplomata totalnej podległości Francji Waszyngtonowi i Bonn, p. Bidault, i powiedział:

„Pan Mołotow woli zbiorowe bezpieczeństwo Europy, ponieważ przekreśliłoby ono system „europejskiej wspólno-

NA WSCHÓD OD BRANDENBURSKIEJ BRAMY

MARIAN PODKOWIŃSKI

NASZE auto posuwa się wolno przez Alexanderplatz w kierunku Alei Stalina. Na „Alexie” — jak berlińczycy od lat zwykli nazywać pieczętliwie obszerny plac otoczony wieżowcami domów towarowych, wielką taflę asfaltową poprzecinaną żylami stalowych szyn — ruch niezwykle ożywiony. Jest godzina wieczorna. Ludzie udają się na zakupy, do kina, bądź na spacer po Alei Stalina. Neony oświetlają ulicę. Tłum faluje. Jesteśmy w sercu demokratycznego Berlina.

Ostatni raz byłem tu akurat przed dwoma laty. Wtedy na „Alexie” pachniało jeszcze świeżym asfaltem. W Alei Stalina stało zaledwie kilka mieszkaniowych bloków w miasie ruin i zgliszcz. Jakże tutaj zmiany, jakie postępy! Kierowca samochodu, wskazując na jeden z wielkich bloków u wylotu Alei, powiada z dumą warszawiaka, kiedy oprowadza cudzoziemca po Starym Mieście: „Pracujemy warszawskim tempem...”

Sklepy HO (tyle co nasze PDT) na Alexanderplatz są przepelnione. Robotnicy chwają asortyment towarów i przystępne ceny. Cóż doprawdy za kontrast z blichtrem zachodnich sektorów, gdzie pełne luksusowych towarów sklepy świecą niemal pustkami. Jeden z właścicieli sklepów na „amerykańskim” Kurfuerstendamm, którego ambicją jest zostać Broadwayem Berlina, powiedział do mnie: „Ludzie nie mają pieniędzy. Mamy 300 tysięcy bezrobotnych, to znaczy, że milion ludzi wycofanych jest praktycznie z obiegu rynkowego. Inni zaś oszczędzają — na gorsze czasy. Pytam się więc pana, kto kupi popelinowe koszule albo angielskie swetry? Oczywiście cudzoziemcy”.

Ale mądry berlińczyk z zachodu — jak powiadają plakaty na granicy sektorów — kupuje tylko na wschodzie. Zmienia marki w kantorze wymiany i korzysta skwapliwie ze wszystkiego, co warto jest kupienia. Nie jest to dziś takie proste, gdyż demokratyczny sektor broni się przed szczyraniem czarnego rynku. Przy pewnych artykułach trzeba się wykazać dowodem zamieszkania lub pracy na wschodzie Berlina, niemniej jednak po ważny asortyment towarów jest dostępny dla wszystkich. Jeśli zaś chodzi o restauracje, kina, teatry, kawiarnie lub inne rozrywki — stoją one otworem dla każdego.

„Cafe Warszawa” z polskimi ciastkami i „Cafe Budapest” z węgierskimi smakołykami — to dzisiaj miejsca spotkań całego Berlina. I nie pomogą tu ani pogrozki magistratu zachodniego Berlina, ani donosy „gorliwych” sąsiadów, ani „amerykańskie kluby”, finansowane ze skatuli wysokiego komisarsa USA w Bonn. Niemcy chcą być między sobą. „Co najmniej połowa naszych gości — powiedział do mnie kelner w „Cafe Budapest” — to nasi bracia z zachodu. A jak pan widzi i cudzoziemców tu nie brak”. Wystarczy zresztą przyjrzeć się numerom samochodów, które parkują wzdłuż jezdni. Nie brak tu i numerów z napisem „US State Depart-

ment” albo nawet znaków wojskowych woźów USA. Widocznie w myśl zasady, że „mądry Amerykanin bawi się na wschodzie”.

Ludzie we wschodnim Berlinie ubrani są lepiej i schludniej niż przed dwoma laty. Robotnicy — znacznie lepiej niż ich towarzysze w zachodnich sektorach. Oczywiście, że na Kurfuerstendammie spotykamy ludzi ubranych bardziej wytwornie niż w Londynie i Paryżu. Są to królowie czarnego rynku, czarnej giełdy, przemysłnicy oraz ich utrzymanki i przyjaćiolki. Ale przespacerujmy się tylko bocznymi ulicami zachodniego Berlina, gdzie nędza i bezrobocie są towarzyszami codziennych trosk świata pracy, trapięcych podatkami i rozmaitymi ciężarami, które nakłada na nich zachodni magistrat, strzegący podziału Berlina jak żrenicy oka!

Kiedy wjeżdżamy w Aleję Stalina — stajemy oczarowani ogromem tej największej w Berlinie, a może i w Europie nowej arterii komunikacyjnej. W ciągu ostatnich dwóch lat wybudowano tu kilkanaście olbrzymich bloków mieszkaniowych, przeciętnie wysokości ośmiu pięter. Wylotu Alei strzegą 12-piętrowe wieżowce, ustawione półkolem. Pod arkadami mieszczą się sklepy. Na tarasach — kawiarnie i kluby. Całość robi niewątpliwie duże wrażenie.

Aleja jest bardzo długa, nawet jeśli jedzie się autem. Perspektywa tej ulicy jest tak imponująca, że mój francuski kolega nie może powstrzymać się od zachwyty. „I to wszystko zrobiono bez pomocy planu Marshalla! — powtarza jakby z niedowierzaniem — przecież u nas w Paryżu walczyliśmy o każdy nowy dom, o każde mieszkanie. Bankierom nie odpowiada niskie oprocentowanie kapitału inwestowanego w budownictwo, więc ludzie gnieźdzą się w kłitkach, za które trzeba w dodatku słono płacić...”

Ktoś proponuje, aby odwiedzić jedno z mieszkań w Alei Stalina. Nasz niemiecki przyjaciel, który nam towarzyszy w naszej wędrówce po Berlinie, podejmuje się wprowadzić nas do jednego z takich mieszkań. Blok ten położony jest u wejścia do U-Bahn (metro) przy ul. Marchlewskiego. Ma osiem pięter. Własny urząd pocztowy, kawiarnię, czytelnik i kilka sklepów spożywczych. Magazyn towarowy i fryzjer.

Wchodzimy na drugie piętro. Po lewej stronie mieszka technik Hans Schneider, który pracuje — jak się później dowiadujemy — w fabryce żarówek. W domu zastajemy jego żonę i dwoje małych dzieci. Mieszkanie — dwa pokoje — jest schludne, posiada wygodę, nawet spalarnię śmieci. Meble kupione na raty, obraz, mały dywan, na komodzie stol porcelana z Ilmenau.

— Ile płaci pan komornego? — pyta się Francuz.

— Pięćdziesiąt marek, razem z opalem — odpowiada pani Schneider.

W mieszkaniu jest istotnie ciepło. W łazience gorąca woda.

— A ile zarabia pan mąż? — sondaż „sytuację” nasz Francuz.

— Przeciętnie 500 marek z dodatkami, czasem trafia się i premia — odpowiada nasza gospodyni. Z tych pieniędzy posyłamy jeszcze matce na wieś — stwierdza skrupulatnie pani Schneider.

Dzieci są wesole i dobrze wyglądają. A pani Schneider krząta się po mieszkaniu z uczuciem, które dobrze rozumieją tylko ci ludzie, którzy przez lata całe nie mieli własnego kata.

Fot.: KEYSTONE

Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, Anthony Eden, przechodzi przez wartą szkołę, udając się na jedno z kolejnych posiedzeń Konferencji Czterech.



WOLNOŚĆ

"WOLNOŚĆ"

ZYGMUNT SZYMAŃSKI

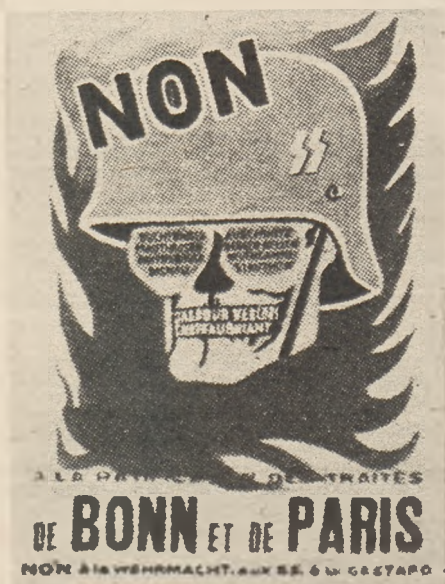
GOY byli bici, twierdzili, że ideałem Niemiec jest ludzkość. Gdy bili innych, głosili, że Niemcy są ideałem ludzkości. Gdy inne narody były górą, mówiono za Lessingiem, że „miłość ojczyzny jest bohaterską słabością, bez której można się doskonale obejść” i mianowano się „obywatelami świata”. Po zwycięstwie nie miano dość słów pogardy dla utopii „w duchu francuskim”, jak: pokój powszechny, braterstwo ludów, postęp pokojowy, prawo człowieka, równość przyrodzona; twierdzono, że naród najsilniejszy ma bezwzględne prawo wobec innych narodów, te zaś, jako słabsze, są w stosunku do niego pozbawione wszelkich praw.

Wątpię, czy pan minister Bidault pamięta te słowa swego wielkiego rodaka, Romain Rollanda, z „Jana Krzysztofa”, słowa tak trafnie charakteryzujące niemiecki imperializm. Wątpię zresztą, czy, gdyby je pamiętał, ochłodziłby w zapale dla „idei europejskiej”, której tak gorliwie broni na berlińskiej Konferencji Czterech Ministrów. Jeżeli od tej „idei” nie odstraszyła go już pamięć Oradour, pamięć tysięcy Francuzów zamordowanych przez hitlerowskiego... pardon! — „europejskiego” okupanta...

Imperialiści niemieccy celują w szalibierczym żonglowaniu wszelkimi „ideami”. Wczoraj były to „Wielkie Niemcy”, dzisiaj — „Europa”. Ci sami ludzie, którzy przygotowali podpalenie Reichstagu, tej, jak się wyrażali, „budy krzykaczy” — głoszą dziś sławę parlamentarizmu... Wczoraj mówili „ein Volk — ein Führer” — dzisiaj deklamują o konieczności „wolnych wyborów”.

Wolne, demokratyczne, powszechne wybory ogólnoniemieckie! Któż mógłby zaprzeczyć potrzebie ich przeprowadzenia. Ale przecież cała rzecz w tym, aby stworzyć w całych Niemczech warunki dla odbycia takich wolnych, demokratycznych wyborów, aby uniemożliwić sytuację, w której z urny wyborczej wyszedłby... Hitler.

Przedkładając w piątym dniu obrad berlińskiej konferencji swój plan rozwiązania problemu niemieckiego w oparciu o tzw. „wolne wybory” — plan, dodajmy nawiasem, zaakceptowany z entuzjazmem przez Adenauera (i bez wątplenia uzgodniony z nim uprzednio) — minister Anthony Eden z wielką precyzją wyliczył wszystkie techniczne



Na murach miast francuskich...

szczegóły związane z ich przeprowadzeniem. W ogólnych zarysach plan ten przedstawia się następująco:

Opracowanie ordynacji wyborczej przez cztery mocarstwa okupacyjne i przeprowadzenie w całych Niemczech wyborów pod kontrolą tychże mocarstw. Zwołanie wyłonionego z tych wyborów przedstawicielstwa narodowego — parlamentu, którego głównym zadaniem będzie opracowanie konstytucji. Utworzenie ogólnoniemieckiego rządu, który przejmie dotychczasowe uprawnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej i bawarskiej Republiki Federalnej. Wszczęcie rozmów na temat traktatu pokojowego z Niemcami, w których imieniu występować będzie wspomniany rząd ogólnoniemiecki.

Plan Edena, poparty zresztą przez pozostałych dwóch ministrów zachodnich, koncentruje swą uwagę na wszelkiego rodzaju formalnych zagadnieniach o charakterze organizacyjno-technicznym. Ale pan Eden nie urobił nawet słówka o podstawowym politycznym celu wyborów w Niemczech. Jasne jest jednak chyba, że wybory ogólnoniemieckie tylko wówczas osiągną swój cel, jeżeli w ich wyniku Niemcy pójdą drogą pokoju, jeżeli wybory pozwolą umocnić bezpieczeństwo na naszym kontynencie.

Historia Niemiec dostarcza niestety przykładów wyborów, których wynik był nie taki. W styczniu roku 1919 odbyły się „wolne” wybory. Na podstawie tej „wolności” militariści niemieccy mogli bezkarnie wydawać

ulotki nawołujące do mordu. Na podstawie tej „wolności” zabito w miesiącu poprzedzającym wybory setki robotników, strzelano do wściekłej ludności, rozbijano zebrania. „Krwawy pies” Noske sprowadził sobie nawet doradcę amerykańskiego, niejakiego Elisa Dresela, który wraz z całym sztabem współpracowników pomagał mu w umacnianiu „wolności”. Stany Zjednoczone uznały za właściwe oświadczyć wówczas kategorycznie, że wstrzymają wysyłkę żywności do Niemiec, jeżeli Rady Robotnicze i Żołnierskie nie zostaną szybko i energicznie zgniecione. Oczywiście także w interesie „wolności” wyborów...

Minister Molotow przypomniał w dziesiątym dniu konferencji berlińskiej inne, bardziej jeszcze wymowne wybory, wybory, które utorowały bezpośrednio drogę do władzy Hitlerowi. Również wówczas, w listopadzie roku 1932, w imię rzekomej, formalnej „wolności” pozwolono panoszyć się terrorowi imperialistycznemu — tym razem przybranemu w brunatne koszule hitlerowskie. Niemieccy baronowie ciężkiego przemysłu w ścisłym kontakcie ze swymi pobratymcami z Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych, obypali Hitlera milionami — w zamian za obietnicę zdławienia „socjalnych niepokoїв”. W listopadzie roku 1932 partia hitlerowska straciła mimo to dwa miliony głosów, lewica zaś urosła w siły. A jednak — o tajemniczo mechanizmy burżuazyjnej demokracji! — doszedł do władzy rząd Papena, potem rząd generała Schleichera, a w niespełna dwa miesiące później — Hitler.

Mamy jeszcze dobrze w pamięci ostatnie, wrzesniowe wybory w Trizonii. Obserwowałem je z dość bliska, bo z Berlina. W wyborach wrzesniowych zwykły fizyczny terror szedł o lepsze z najpodlejszym fałszerstwem. Adenauer otrzymał co najmniej 50 milionów marek na kampanię wyborczą od swych przyjaciół z Zagłębia Ruhry. Na pięć dni przed wyborami jeden z głównych obrońców „wolności” na obecnej konferencji berlińskiej — minister John Foster Dulles oświadczył, że „upadek obecnej koalicji rządowej w Bonn miałby nieobliczalne skutki...”. Nawet socjaldemokrata Ollenhauer ocenił to oświadczenie jako przykład „niesłuchanego mieszanina się w sprawy Niemców”.

— No dobrze — mówiono mi, gdy powróciwszy z Berlina, opowiadałem o oszukańczych trickach propagandy adenauerowskiej, o hecy antypolskiej, o ter-



„Naród powstaje — wybila godzina”... „Wolność”, za którą wiele krajów Eu-

ropy... — no ślicznie; ale widocznie Niemcy pragnęli mieć Adenauera.

Naród niemiecki nie pragnie wojny, matki niemieckie nie chcą znów oplakiwać swych synów! Owszem, skutki zatrucia faszystowskim jadem działają jeszcze, sprawiają one, że wielu Niemców nie umie dostrzec we właściwych proporcjach pewnych politycznych zagadnień. Ale właśnie Poczdam mówił o stworzeniu takich warunków, które umożliwiłyby im reedukację, mówił o wyrwaniu z korzeniami narodowego socjalizmu, o rozbiciu nadmiernej koncentracji mocy przemysłowej. Nie wykonano jednak tych wskazań Poczdamu na zachodzie Niemiec.

„Gdy po książkach 1806 i 1807 roku — wspomina Engels w „Antidühring” — zniesiono w Prusach pańszczyznę a z nią spoczywający na jąśnie panach obowiązek troszczenia się o swych poddanych w biedzie, chorobie i starości — chłopci wnieśli do króla petycję, aby im jednak pozwolono zostać w niewoli, bo inaczej, któż będzie się troszczył o nich w nędzy”.

Tym chłopcom wydawało się, że nie może istnieć dla nich inne życie, jak tylko w pańszczyźnie.

Wielu Niemcom w Trizonii wydawało się, że nie ma dla nich innej drogi, oprócz tej, jaką wytycza przed nimi Adenauer.

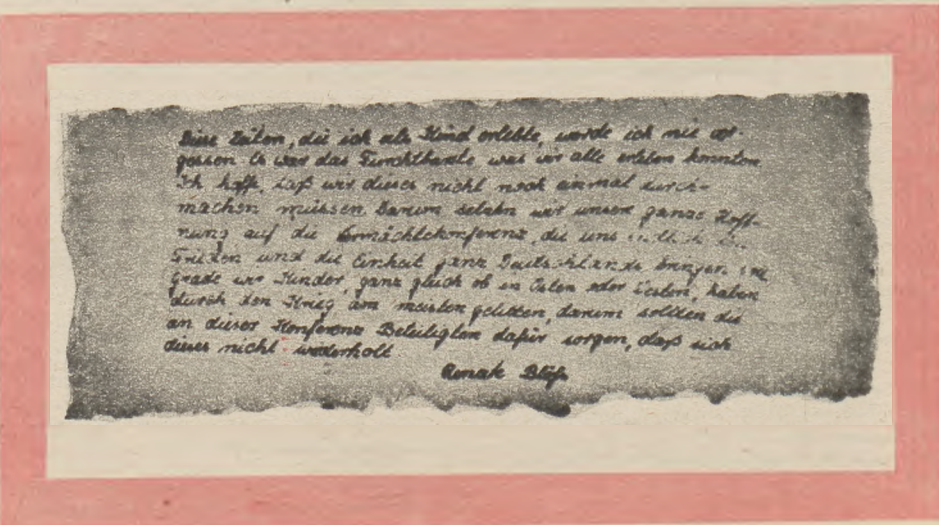
Ale droga taka jest. Pokazuje ją światu Niemiecka Republika Demokratyczna, której polityka zapewnić może całemu Niemcom dobrobyt i rozkwit. Jej przykład przenika coraz mocniej przez kurtynę zapuszczoną przez Adenauera na Łabie.

Plan Edena wyłącza samych Niemców od sprawy przygotowania i przeprowadzenia wyborów w Niemczech i powierza tę sprawę mocarstwom okupacyjnym. Molotow, przeciwnie, obstaje przy tym, aby sami Niemcy mogli decydować o swym losie. Czy nie jest to zbyt zaufania? — py-

USA nie odmówiły wolności Alfredowi Kruppowi von Bohlen und Halbach (x)



Uczennica niemiecka pisze: „Czasu, który przeżyłam w dzieciństwie nie zapomnę nigdy. To było najstraszniejsze, co w ogóle można było przeżyć. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli przeżywać tego raz jeszcze. Dlatego pokładamy tyle nadziei w Konferencji czterech mocarstw, która powinna wreszcie przynieść pokój i jedność całemu Niemcom. Właśnie my, dzieci, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, najbardziej ucierpieliśmy przez wojnę — i dlatego uczestnicy Konferencji powinni się starać, by się to już więcej nie powtórzyło”.



GUSTAW MORCINEK

OPĘTANI PRZEZ DIABŁA

W CZASACH biblijnych i w średnich wiekach bywali ludzie opętani przez diabła. Tak przynajmniej wówczas wierzone. Nad nieszczęśliwymi ofiarami zabobonu odprawiano ponure egzorcyzmy, wypędzano diabła pobożnymi słowami, święcono wodą, okadzano, wspierano się modlitwami, a diabeł rzucał się i wygadywał sprośne i bluźniercze słowa przez usta ofiary i groził zniszczeniem ludzkiego rodzaju.

Tyle mówią bardzo mroczne legendy.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem w Niemczech — a było to w roku 1938 — wszystkie drogi, wiodące w kierunku granicy czechosłowackiej, zawałone pędzącymi samochodami pancernymi, czołgami, armatami, gdy patrzyłem na jakiś historyczny entuzjazm tłumów, na krocie sztandarów zdobitych frontowymi kamieniami w miastach i miasteczkach, gdy słuchałem rozpasanego śpiewu ludzi zarażonych pragnieniem wojny i gdy ich widziałem odzianych w hitlerowskie mundury, w kopulastych hełmach, przepasanych pasami ze sprzączkami z napisem „Gott mit uns“ na brzuchu i gdy następnie słuchałem mowy Führera w Winterpalast w Berlinie i gdy patrzyłem na wyjące tłumy, skandujące w jakimś zbiorowym obłąkaniu osławione „Sieg! Heil!“ — przypomniał mi się średniowieczny diabeł, który wstępował w człowieka, a ten stawał się przez niego opętany.

Tutaj tym legendarnym diabłem był dla mnie Hitler, który zdołał opętać prawie całe społeczeństwo niemieckie.

Kończył się już mój przeszło pięcioletni pobyt w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdy dotarł do mnie, tuż w przededniu ostatecznej klęski Hitlera, ostatni numer tygodnika „Das Reich“. Redagował go osławiony pokurek diabelski, Goebbels, podobny z postury do kulawego szatana. Jego dowodzenia w głównym artykule, że „hitlerowska krucjata“ jest słuszną i zbawienną dla ludzkości, były zbudowane z takim mistrzostwem, że z wysiłkiem opierałem się ich sugestiom. Koło mnie konali pokotem towarzysze, nienawidząc do hitleryzmu wzrosła do wyżyn jakiejś posępnej obsesji, a tymczasem Goebbels swoim przez diabła opętanym słowem jeszcze potrafił pętać czytelnika.

Dniem i nocą wysokie niebo bawarskie bulgotało metalicznym werblem nieprzeliczonych stad bombowców, ziemia dygotała pod uderzeniami zrzuconych bomb, nasze baraki obozowe chwiały się od wstrząsów dalekich eksplozji, a na widnokręgu płonęło Monachium, niszcząc się miasto, spowite w lunę i ciężkie dymy. Wiem, konali w nim ludzie niczemu nie winni, apokaliptyczny potwór zaś wciąż jeszcze szalał i wydawał rozkazy ze swego berlińskiego bunkra.

Dziwiłem się wtedy, dlaczego umęczony człowiek niemiecki nie podnie się zbiorowego buntu przeciwko tamtemu diabłu znaczonemu swastyką. Ci nieleczni, co bunt podnieśli, konali koło mnie w obozie. I musiała przysięga Monachium, niszcząc się miasto, spowite w lunę i ciężkie dymy. Wiem, konali w nim ludzie niczemu nie winni, apokaliptyczny potwór zaś wciąż jeszcze szalał i wydawał rozkazy ze swego berlińskiego bunkra.

Od tego czasu minęło dziewięć lat.

Tęsknota wielu, wielu milionów ludzi na całym świecie znalazła swój wyraz w idei pokoju, zainicjowanej po raz pierwszy w dziejach ludzkości na tak ogromną skalę przez Związek Radziecki. Wydawałoby się, że ta nielczna garstka możliwych tego świata, którzy z ludzkiej krwi i nędzy zgarniają w safesy krocie milionów dolarów, ułęknie się żywiołowej woli ludzkości pragnącej pokoju. Diabła tam!...

Jak ów potwór w bajce, któremu odcięty łeb znowu odrasta, odrasta wśród tamtych możliwych z Zachodu pragnienie wojny. Wiadomo, zarzewiem mogą być Niemcy hitlerowskie. Nasienie, ciśnięte ogniś przez Hitlera, tamci starają się ożywić, zasugerować społeczeństwo niemieckie potrzebą odwetu, opętać je — jak je ongiś Hitler opętał — pragnieniem wojny. To leży bowiem w interesie kapitalizmu amerykańskiego i angielskiego. Idea pokoju, głoszona przez ludzi dobrej woli na całym

świecie, jest dla nich śmieszną romantyczną mrzonką, którą — jak przypuszczają — można unicestwić mieszkaniem dolarów.

Na „Konferencji Czterech“ w Berlinie waga się losy. Z jednej strony staje do walki olbrzymi front pokoju, reprezentowany przez przedstawicieli Związku Radzieckiego, z drugiej strony zamaskowany pęd do wojny. Stanowisko Niemieckiej Republiki Demokratycznej, domagającej się demilitaryzacji całych Niemiec, podważa ostatnie demagogiczne i szowinistyczne komunały, że Niemcy chcą wojny. Chłop i robotnik niemiecki nie chcą wojny i nie chcą zbrojeń. Wojny i zbrojeń chcą tamci opasli akcjonariusze z Wall-Street, którzy dla swych nikczemnych celów usiłują opętać niemieckie społeczeństwo pragnieniem wojny odwetowej. Przeciwno nim staje idea pokoju. A owa idea pokoju musi zwyciężyć, bo tak chce ludzkość.

PAMIĘTAMY O ZBRODNIACH

STANISŁAW PIĘTAK

NIE UPŁYŃĘŁO JESZCZE 10 LAT...

POMYSLEĆ, że nie upłynęło jeszcze 10 lat od zakończenia wojny, a zbrodniarze hitlerowscy, w rodzaju Kesselringa czy Guderiana, odpowiedzialni za masakrę milionów ludzi i spalenie setek miast, znów nachylają się nad mapami sztabowymi i roją, myślą o nowym marszu na wschód, nowym podboju ludów.

Okoliczności się zmieniły, więc oczywiście ci panowie zmienili również swoje hasła, swoje wojenne zawołania. Dawniej szli, by budować na tysiąc lat wszechświatowe imperium Hitlera, dziś ufryzowani, obłaskawieni przez pobożnego kapitalistę amerykańskiego, gotowi są iść bronić cywilizacji zachodniej, wiary, „świętej“ własności prywatnej i wolności. Wolność — tak, użycia i zabijania... Gdy stwierdzam te fakty, z jaką ostrością widzenia przypominam sobie ludzi, którym przed laty hitlerowski miecz odebrał radość życia, radość młodości, pracy i twórczości; chłopów i robotników opuszczających pola i warsztaty ojczyste, artystów oślepionych strachem i cierpieniem na myśl, że nie będą żyć i nie zdołają urzeczywistnić w sztuce tego, co zaplanowali — matki wreszcie, którym zabierano dzieci i na oczach ich roztrząskiwano o kamienie i drzewa...

Najlepsi synowie kraju umierali w walce, w więzieniach i obozach, uno-

sząc z sobą nadzieję, że śmierć ich czemuś służy — że hitlerowski jad wypalony zostanie ogniem i żelazem z przyszlých dziejów świata. Cóż mówić o tych, którzy, choć chorzy, ledwie chwytając oddech po przebytych cierpieniach wojny, żyli jeszcze w pierwszych latach po wyzwoleniu i ufnie patrzyli sobie w oczy, bo krzepiła ich wiara, że jakkolwiek potoczą się losy krajów, hitlerowskie pędy już nigdy nie odżyją, stracą wszelkie miejsce na ziemi.

Tymczasem... O, tymczasem hitleryzm, wsparty przez butnych, reakcyjnych polityków Stanów Zjednoczonych, nie tylko odżył w Niemczech zachodnich, ale zaczyna podnosić już pięść, zaczyna przemawiać pełnym głosem.

Myślę, że pora największa, by mówić o tych faktach naszemu społeczeństwu co dnia, co godzinę. Hitleryzm nie zniknął z powierzchni dziejów, nie rozplynął się z wiatrem i dymem, jak chcieliby wierzyć niektórzy, on krzawi się, słychać przyczajony jego ryk.

Tak, jeszcze hitlerowski wyznawca wali się wprawdzie na lapy i udaje łagodnego i pognębnego losem, lecz dać mu tylko broń, a bez zmrużenia powiek znów wystrzelił w najbliższą pierś ludzką, jeśli nie będzie podobna piersi jego...



ropy zapłaciło niewolą, bezmiarem przelanej krwi i łez, milionami zabitych...

tają niektórzy. Ależ przecież to właśnie trzy mocarstwa zachodnie, a głównie Amerykanie — a więc ci, którzy obok Związku Radzieckiego mieliby nadzorować Niemców — są w głównej i największej mierze odpowiedzialni za to, że faszyzm kwitnie w Trizonii.

W świetle wyników wyborów adenauerowskich, w dwójnasób urasta nasza nieufność do polityki trzech mocarstw zachodnich, a zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych. Eliminowanie faszystów, militarystów, rewizjonistów z życia publicznego Niemiec uznają one widzieć za pogwałcenie „wolności“. Ale jakoś nie miały tych obaw wspomagając finansowo i dyplomatycznie Hitlera. A gdy całkiem niedawno, w 1946 roku, ludność Hesji (kraju położonego w amerykańskiej strefie okupacyjnej) wypowiedziała się tam w głosowaniu ludowym za nacjonalizację monopolu (słynny 41 paragraf heskiej konstytucji) — Amerykanie zaprotestowali jak najostre przeciwko tej decyzji. Nie obawiali się i tym razem pogwałcić tak jakoby dla nich „świętej“ woli narodu!

W imię takiej swoiście pojętej „wolności“ wskrzesili faszyzm niemiecki, zwrócili wolność zbrodniarzom wojennym, poparli grubymi dotacjami nacjonalistyczne, rewizjonistyczne wydawnictwa, ożywwili hitlerowski sztab, przywrócili do cześci niemieckich generałów, zwrócili majątki Kruppom, rozbudowali maszynę wojenną Trizonii.

Mało tego, minister Eden jest zdania, że takie właśnie stosunki, jak w Trizonii, należy także wprowadzić na obszarze NRD!

Toczyłem kiedyś w Berlinie długą rozmowę z tamtejszym przedstawicielem mieszczańskiego pisma szwajcarskiego. Mówiliśmy o wolności. Owszem, zgadzał się ze mną, w Niemczech zachodnich hulają faszysci — z tak bliskimi faktami trudno byłoby się nie zgodzić. Ale, oświadczył, z wolnością związany jest zawsze pewien element ryzyka; inaczej przeistacza się ona w niewolę. Piękne słowa! Z tego samego słownika co Europa... adenauerowska. Ale czy mój kolega byłby gotów zaryzykować, aby na przykład w ojczyźnie jego wolno było wydawać botaniczne atlasy, w których pod rysunkami trujących grzybów znalazłyby się podpisy głoszące, iż są to grzyby prawdziwe, i odwrotnie? Co więcej: czy zgodziłby się z tym, aby tylko takie fałszywe atlasy wolno było wydawać? I to w imię „wolności“, dla której trzeba ponosić ofiarę „ryzyka“?

Być może, memu szwajcarskiemu koleźce łatwo jest zaryzykować, by do władzy w Niemczech zachodnich doszedł hitleryzm. Bez wątpienia godzą się na takie ryzyko Amerykanie. Ba, są przecież nawet z niego radzi; sami je stwarzają. Ale my takiego ryzyka ponosić nie chcemy. My — nie tylko Polacy. My Europejczycy; tak, Europejczycy, ci sami, którzy walczyli i ginęli w walce ze zbrodniarzami, zonglującymi dziś bezkarnie słowem „wolność“.

Jeśli bowiem jest się naprawdę za wolnością, jeśli naprawdę szanuje się wolę narodów — należy zapytać sam naród niemiecki czy chce wojny czy pokoju, czy chce traktatu pokojowego czy „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“? Nikt nie wątpi, że opowie się on za pokojem, za traktatem pokojowym, za swobodnym rozwojem zjednoczonych, demokratycznych Niemiec, niespełnionych interesami amerykańskich monopolistów, za pozbawioną zrnory wojen Europą. Ale to byłoby już zbyt wielkie ryzyko dla Kruppów i Stinnesów, Mansteinów i Kesselringów, dla Adenauerów i Ollenhauerów. Podobnie jak dla ich opiekunów...



Fot. W. Prażuch
Benzyna syntetyczna rusza w świat. Dzieło polskich inżynierów i robotników opuszcza zakłady Oświęcim - Dwory

BENZYNNA

Rozdział I ZAPACH ZWYCIĘSTWA

CIEKNIE! CIEKNIE!
Ludzie poważni i szanowni skakali jak uczniaki podczas długiej pauzy. Mężczyźni o oszronionych skroniach zachowywali się nieprzystojnie do swego wieku — po prostu rechotali. Inni walili się pocieszenie po udach. Jeszcze inni szczyrzyli zęby.

— Cieknie! Cieknie! — powtarzali inżynierowie technikom, technicy majstrom, majstrowie robotnikom.

Złotowłosa teletypistka stuknęła różowymi paluszkami w sztywne klawisze dalekopisu. Walała w klawiaturę bez opamiętania. W Warszawie, w Ministerstwie Przemysłu Chemicznego, odczytano tę krótką depezę. Denerwowali się, że litery na wałku odbiorczym wyskakują zbyt wolno. Litery były szare, równe; w niczym nie można ich było porównać z radośnie skaczącymi i uciechającymi ludźmi. Nonsens nie porównanie. Po prostu bzdura! A jednak i one miały być wyrazem tego samego radosnego faktu. „DZIS PRZED POLUDNIEM SYNTINA WYCIĘKŁA Z SEPARATORÓW. MOŻEMY RUSZAC Z PRODUKCJA”. Właśnie tak: same duże litery i trochę jakby z błędami. Dalekopisy nie wczuwają się w niuanse pisowni.

Wtedy i ludzie w Warszawie pochyleni niecierpliwie nad wałkiem odbiorczego aparatu zamachali pocieszenie rękami.

— Cieknie! Cieknie! — zawołali i oni. Rozbiegli się po swoich resortach: „Słuchajcie, w Dworach już mają syntinę!”

Wszystko to zdarzyło się już dość dawno: prawie cztery lata temu. Ale pamięć o tym zwycięskim, radosnym dniu przetrwała do dziś w Dworach pod Oświęcimem. Tego dnia bowiem, budowany z mozołem i po raz pierwszy w historii naszego przemysłu, kombinat Wielkiej Syntezy Chemicznej uruchomił pierwszą ze swych kilkunastu zaplanowanych wytwórni.

To, co tak ucieszyło inżynierów i majstrów, co poruszyło ludzi w stolicy, to było zaledwie kilka kropel. Kilka kropel oleistej cieczy o ostrym, wwiercającym się w nos zapachu.

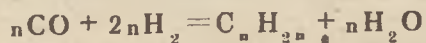
Ten dzień to był dzień kwietniowy. Rok 1950.

Wiosna obdarowała Dwory bogatą gamą swoich zapachów: pachniała ziemia wilgocią, pachniała pszczołami i gałęziami pokrytymi drobnymi jak krople pyłkami. A jednak w Dworach z największą lubością wciągano w nozdrza właśnie zapach tej dziwnej cieczy. Pachniała i sączyła się pomału z kurka brzuchatego separatora. Ani nie pachniała wiosennie, ani, jesiennie, po prostu tak, że chciało się kichać.

Jest dobry zwyczaj mówienia przy kichaniu „na zdrowie”. To tutaj bardzo na czasie. A psiiich! Na zdrowie! — tym, co ją wymyślili. A psiiich! Na zdrowie! — jej samej, niech cieknie, pachnie, wierci w nosie i niech się mnoży w tysiące ton, beczek, karnistrów, baryłek, baniek, cystern, zbiorników!

To była syntyna.

Co to jest? Chemik powiedziałby: syntyną nazywamy węglowodory alifatyczne, zawierające od dwóch do kilkudziesięciu atomów węgla w cząsteczce, a otrzymywane syntetycznie metodą Fischera-Tropscha z tlenku węgla i wodoru. Jeszcze inny, mądrzejszy, powie: Syntyna? Ależ to jasne. To po prostu:



Proszę mi tu nie robić mądrych min. To, co na samym końcu, to „H₂O”, to ja też rozumiem, ale to, co

przed tym?... Węglowodory alifatyczne... atom w cząsteczce? Nie, w ten sposób nie dojdziemy do niczego. Co to jest syntyna?

Można by to przedstawić mniej więcej tak.

CO TO JEST?

1.

Samochody jeżdżą po Warszawie, Wrocławiu i Krakowie. Nawet w Słomnikach można się przejechać PKS-em. W Warszawie autobusy zaczynają się na 100, kończą się na 128. Jeżdżą od piątej rano do 23.25. Są również taksówki. Przed Dworcem Głównym podróżni tłuką się walizkami po łydkach i gnają do taksówek. Potem rozpełzają się po mieście: do „Bristolu”, do ministerstwa, na śniadanie albo po prostu do własnego domu i żony na Żoliborz. Prócz tego z Żerania dzień w dzień wychodzą „Warszawy”. Prócz tego kierowcy przybijają na szybie tabliczkę: „Mój samochód świadczy o mnie” i wożą meble, węgiel, chleb nałęczowski, armatury, koniak gruziński w skrzynkach i po prostu pietruszkę. Prócz tego latem na żużlu ścigają się bez opamiętania motocykliści. Szwendrowski naciska skórzany hełm, potem rączkę z gazem. Na wirażu jest bezkonkurencyjny: kłęby kurzu i żużlu. Wszyscy wstają — co się stało? Gdzie się podział Szwendrowski? Szwendrowski jest już na mecie. Oczywiście wygrał. Oczywiście brawo, oczywiście rekord toru, oczywiście puchar! Dlaczego? Czy zrobiłby chociaż dwa kroki, gdyby bak jego SHL był pusty? Bzdura! Na szczęście w baku SHL, tak samo jak w „117”, jak w taksówce, jak w ciężarówce z pietruszką jest — BENZYNNA.

2.

W kinie „Palladium” jest ciemno i niesposób rozróżnić wypieków na twarzach. A jednak widzowie są zdenerwowani. Czym teraz będzie Dymśa? Już był kierowcą, kelnerem, bokserem, spekulantem, bikiniarzem, biurokratą i subiektem. Jeszcze może być tylko kula-kiem i schematycznym pisarzem. Będzie czy nie będzie? Napięcie. I nagle robi się jasno: ekran jest biały. Oczywiście urwała się taśma. Operator zdaje sobie sprawę, że nie może igrać ludzkimi nerwami. Łapie szybko dwa końce taśmy, macza pędzelek w buteleczce i skleja film. Złota operatora ma w domu identyczną buteleczkę. Wieczorem robi sobie manicure. Rzecz jasna lakier poodpryskiwał, kiedy myła patelnię po pieczeniu. Trzeba go zmyć. Sięga po buteleczkę. W buteleczce — ACETON.

3.

Traktorzyści pracują w POM-ie. Jest luty, ale do POM-u przychodzą przewodniczący spółdzielni produkcyjnych: podpisują umowy na orkę siewną. Ten ma 200 hektarów, tamten 212, trzeci po prostu — 3: jest małorolnym i do niego też traktor przyjedzie. Dyrektor POM-u siedzi nad wykazem i robi zestawienie: do Poddębja 3 „Ursusy”, do Ządebia — 4 „Ursusy”, do Przydębja — 1, do Naddębja — 8. Teraz trzeba napisać do CPN o paliwo. „...proszę przysłać dla „Ursusów” 400 kilogramów OLEJU DIESLOWSKIEGO...”

4.

W aptece CAS, powiedzmy przy Marszałkowskiej — ogonek pacjentów. Oczywiście na mieście panuje grypa, w aptecce — hałas. „Proszę aspirynę”, „dla mnie polo-

Oświęcim stał się na wieki symbolem męczeństwa ludów, symbolem potwornych zbrodni hitleryzmu.

Dziś pod Oświęcimem buduje się w Polsce Ludowej wielki kombinat chemiczny — dzieło pokojowej pracy polskich robotników i inżynierów.

Opowieść, której druk dziś rozpoczynamy, mówi o machinacjach międzynarodowych monopolii. Przy ich współudziale Hitler doszedł do władzy, napadł na Europę. Hitler wystawił oświęcimski obóz, w którym mordował podbite narody Europy.

Dużo upłynęło czasu zanim Oświęcim mógł stać się terenem pokojowego wysiłku naszego narodu. Okres ten wypełnia właśnie treść tej opowieści.

N A P I S A Ł:
JERZY JANICKI

pirynę”, „czy jest motopiryna”, „czy jest camfochina”, „czy jest omnadina”. Jedna magister mówi do drugiej magister: „Pani Jadziu, czy jest recepta B 2086 na grypę?”. „Pani Jadziu — recepta C 3785 gotowa!” Po prostu urwanie głowy. I nagle: „Poproszę GLICERYNE”. I pani Jadzia patrzy zdumiona zza okularów: co, nie grypa? Nie, po prostu — gliceryna, bo pacjentka ma spierzchnięte ręce. Posmarować i przejdzie. „Aha, i jeszcze mydełko dla dziecka. Czy dobre?” Co za pytanie. mydło „Bebe” jest na pierwszorzędnej PARAFINIE.

5.

„Kochana moja, gdzie pani dostała taką śliczną podgardlanę? Na Grochowie? Już leczę...” „Poczekaj pani, tu zaraz na rogu dostanie pani schabowe. Pałce liżać”. „Już leczę, to jeszcze tylko masła kupię do smażenia”. „Można i tak, ale spróbuj pani raz na margarynie”. „Dobre?” „Bardzo dobre”. Oczywiście nie mogą być złe, skoro margaryna jest z pierwszorzędnych — TŁUSZCZÓW SPOŻYWCZYCH.

6.

Do kontaktu włączono maszynkę. Oczywiście w czasie słabego natężenia prądu. Trzask! Błysk iskier! Ciemno. Krótkie spięcie. Kto może się znać na elektryczności? Oczywiście dozorca. Przychodzi i wykręca korki. Zawija druciki i — trzask, błysk iskier; ciemno. Krótkie spięcie. Aha! Znakiem tego kurczusłusze maszyny. No oczywiście — drut przetarty. Mechanik odkleja z krążka czarną taśmę. Owija nią ranny drut. „Ale czy aby można dotykać? Panie, ja się okropnie boję, że to może kopnąć...” „Kopnąć? Przez taką IZO-LACJĘ?”

7.

Tam, gdzie nie ma kaloryferów, tam są piece. Tak już jest urządzone. Trzeba schodzić do piwnicy po węgiel. To nawet dobrze, bo przy okazji pieśka wyprowadzi się siusiu: „Baca, idziemy na spacer!” W piwnicy, rzecz naturalna — ciemno. Błysk zapalniczki i świeczka się pali. Ostrożnie, nie można jej teraz przechylić, bo nakapie na spodnie. Będzie plama. Czym potem wywabić WOSK?

8.

W tramwaju rzecz jasna — tłok. „Panie, niech pan uważa na moje nogi!” Nie pomogło: buty całe w błocie. W domu: „Uważaj, wjeżdżaj na szmatkach, świeżo wypastowana podłoga”. Oczywiście z dwóch powodów: trzeba buty wyczyścić. Szmatka, szczotka. W szufladce dwa pudełka: PASTA DO PODŁÓG I PASTA DO OBUWIA.

9.

„Czy można pana prosić o ogień?” Papieros można, rzecz jasna, zapalić zapalniczką. Bardzo wygodnie, 20 groszy, przeciętnie 48 sztuk. Ale czasem dostaje się na imię niny zapalniczkę. Trudno. W takim wypadku zapala się papierosa właśnie nią. Mechanizm nad wyraz prosty: kamyczek, trybik, sprężynka, wata, na wata kilka kropli OCZYSZCZONEJ BENZYNY i już się pali.

Można jeszcze mnożyć przykłady, ale myślę, że to mogłoby wywołać zamyślenie. Oto, co to jest syntyna. Jakiego bogactwa produktów, jaka gama użyteczności — ben-

żyna, oleje, tłuszcze, pasta do podłóg i butów, izolacja, aceton, parafina. To wszystko — syntyna. To wszystko — z WĘGLA.

Oto dlaczego tak czekano na narodziny tej syntyny. Sztuczna ropa. Nikt nigdy w Polsce jej nie produkował. W 1945 roku wzięli się za nią młodzi chemicy, którzy nie mieli właściwie o niej zielonego pojęcia. Bo skąd? Niebawem zobaczymy, jak wyglądał nasz przemysł chemiczny przed wojną. Metody produkcji syntetycznej ropy, a co za tym idzie benzyny, nie były nam znane nawet ze słyszenia. Niemiecki IG-Farben i amerykański „Standard Oil of New Jersey” trzymały metodę produkcji w najgłębszej tajemnicy.

A jednak i nam udało się wydrzeć węglowi jeszcze jedną z jego niezliczonych tajemnic.

Prosimy dobrze zapamiętać sobie wspomniany przez nas dzień radosnego podniecenia. To był jeden z pierwszych triumfów polskiej młodej chemii. Dalsze następili niebawem: dziś Dwory są największym naszym kombinatem chemicznym z wieloma pracującymi już wytwórniami. To właśnie temat naszej opowieści.

Ale droga historii oświęcimskiego kombinatu była długa i obfitowała w wydarzenia wręcz odwrotne od tego triumfalnego i wesołego.

Oto początek naszej opowieści...

Rozdział II BEI AUSCHWITZ

1.

TELEGRAM I PÓŁ MILIONA NA ZAPAS

„Do Wodza i Kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera, Berlin. Głęboko wzruszony powrotem Niemców Sudeckich do Rzeszy, co się stało za Twoją sprawą, Wodzu, IG Farbenindustrie A.G. składa do Twojej dyspozycji sumę 500.000 RM dla ziemi sudecko-niemieckiej. (Podpis) Hermann Schmitz”.

To rzecz jasna nie jedyna depesza, którą tego dnia przyjęła kancelaria Hitlera. To jedna z wielu. Wszystkie wyrażają radość. Jest wszak 1 października 1938 r. Gazety właśnie doniosły: wojska generała Loeba przekroczyły Las Czeski. Rzesza świętuje dzień, w którym usłudnie otworzono w Monachium Hitlerowi drzwi na wschód.

Hermann Schmitz zaś ma szczególne powody do radości. W chwili szczęścia człowiek często nie zastanawia się, co robi: staje się nawet rozrzućny. Tak jest właśnie w wypadku prezesa Schmitza. Pół miliona marek! Wszyscy są wzruszeni szczodroliwością Schmitza. Pół miliona marek!

Hermann Schmitz nie jest wcale filantropem. On jest prezesem IG Farben. Potężnego IG Farben! Olbrzymiego IG Farben! IG też nie jest oczywiście instytucją filantropijną: gdyby tak było, 200 francuskich piechurów nie udusiłoby się 22 kwietnia 1915 roku pod Ypern, co się stało za łaską gazów IG. A jednak 500.000 marek opuszcza konto bankowe IG-Farben.

Urzednicy bankowi mają satynowe nałokietniki: chodzi o to, aby nie powycierać rękawów. O, na to trzeba uważać. A co ich obchodzi, po co dokonali przelewu pół miliona? Odjąć, podsumować, wypisać asygnatę. Koniec. Kropka. A tymczasem to wcale nie jest operacja handlowa, to dalszy ciąg politycznej operacji.

Oto na tydzień przed paktem monachijskim Hermann Schmitz podpisywał z rządem hitlerowskim umowę: najważniejsze zakłady chemiczne, a w szczególności produkujące barwniki na terenie Czechosłowacji przechodzą pod władanie IG. Potem ta umowa zostaje rozszerzona o wszystkie pozostałe terytoria, na które dziarsko wmaszerowują żołnierze z „Gott mit uns” na pępku. Cała rada nadzorcza bardzo wtedy chwaliła Hermanna Schmitza. Oto mąż opatrnościowy! Oto mądrość objawiona w dziko-wąskich oczkach i prawdziwie po wilhelmowsku energicznym podbródku! Oto zgodnie z punktami umowy koncern wzbogaca się o fabryki chemiczne Czechosłowacji, Austrii, Francji, Belgii, Holandii i Polski.

Urzednicy w banku podciągają ochoczo gumki w w swoich markietach. Już nie asygnaty rozchodowe. 500.000 RM utonęło już w niepamięci. Asygnaty przychodowe. Milion, dwa, trzy! Długo w noc sprawdzają ilość zer: z ich nadmiaru wprost można popełnić omyłkę.

2.

BORUTA CHWYCONY ZA ROGI

W Polsce trzy towarzystwa przechodzą w ręce IG: „Boruta”, „Wola” i „Winnica”. Wbrew przypuszczeniom to nawet łatwe jest do wymówienia. Znaczenie trudniej z przejściem. O, do licha, a umowa?! Tak, to prawda, są jednak pewne komplikacje. Grabież w faszystowskim państwie odbywa się według pewnego systemu. Tu nie ma tak: każdy bierze co mu się podoba. Grunt to organizacja! *Ordnung muss sein!* Komisarzem zgrabionej własności na wschodzie jest tzw. HTO. I HTO odmawia przekazania IG „Boruty”. Oczywiście nie jest to niezłomne postanowienie: w końcu zgodnie z umową przekazać muszą tak czy owak. Chodzi o to, że można ten proceder opóźnić. Mogą naturalnie również przyspieszyć, ale to kosztuje. Cena nie gra roli, herr Schmitz podpisuje czek, urzednicy podciągają rękawki, łapówka wpływa do HTO. „Boruta” — załatwiony! To był, jak wiecie niesie, swego czasu nie lada diabeł; Hermann Schmitz potrafi nawet diabła wziąć za rogi. Wszystko kwestia ceny.

W sprawie „Winnicy” HTO ma podobne żądania. Nie przesadzajmy, to już za wiele. Sprawę załatwia się inaczej. „Winnica” jest własnością francuskiego koncernu Kuhlmann. Już to wystarczy, że 50% udziałów „Winnicy” jest własnością IG, bo Kuhlmann to partner koncernowy IG. Załatwione. Następny, proszę!

„Wola”. Schmitz nie może w końcu wszystkiego załatwiać sam; to zrozumiałe wobec nawału zajęć. Może tym się zajmie kolega Schnitzler. Proszę uprzejmie. Schnitzler już siedzi w Ministerstwie Gospodarki. Przedkłada czarno na białym, że „Wola” jest własnością niearyjską. Przecież wobec takich faktów nikt nie będzie zamierzał robić wstrętów. Po prostu zabrać urządzenie i surowce przewieźć do IG. Oczywiście! Nie ma dwóch zdań! Zezwolić! Przekazać! Załatwione!

IG cieszy się dobrym apetytem. Trzy fabryki w Polsce to za mało. Stanowczo! A właśnie nadarza się sposobność: Niemcy potrzebują kauczuku. Oczywiście syntetycznego. O innym już się nie mówi. To kiedyś było bardzo zabawne: dzielni żeglarze Amerigo Vespucci obserwowali, jak świeżo odkryci przez nich mieszkańcy Nowego Świata zabawiają się okrągłą kulka. Kulka odbijała się od ziemi. Okazuje się: odlana była z soku drzewa, które nazywa się heveja. Odtąd setki tysięcy hevej nacinano we wszystkich możliwych miejscach: to był kauczuk. Teraz heveja to po prostu próbówka chemika. W laboratoriach IG trwają ostatnie próby. Potrzebna jest fabryka.

Następuje nowa seria wymiany korespondencji. Geheirat Schmitz wykazuje nową niepospolitą zdolność: cto zna się nie tylko na finansach. Ma również w jednym palcu geografę. Proponuje, aby taką fabrykę postawić w Dworach.

Dwory? A cóż to znowu? Czy wysocy urzednicy kancelarii Rzeszy są zobowiązani znać byle miścinę w Polsce? To w ogóle nie miścina, to wioska. Tym bardziej! Ale okazuje się, że są im znane i maleńkie miasteczka. Wyjaśnienie: to parę kilometrów od Oświęcimia. Aaaa, trzeba było tak mówić od razu! Auschwitz, no, oczywiście wiemy, wiemy. No i cóż?

Ano Hermann Schmitz wybrał te Dwory nie bez kozery. Chodzi mianowicie o dwie rzeczy: fabryka powinna być błyskawicznie, to raz, a dwa, że podobna budowa wymaga olbrzymich kosztów. Chodzi o jak najtańszą siłę roboczą. Jednym słowem niech fabrykę stawiają więźniowie. Są przecież tak blisko...

Zgoda!

Oto rozpoczyna się drugi etap historii Dworów.

3.

BUNA - WERKE

„Ziemia jest naga i wielka. Prawie ani śladu drzewka. To prawda. Za to jest niezmiernie falista. Specjaliści IG Farben oglądają teren. W pierwszym rzędzie

trzeba ten teren zrownac. Inżynierowie odjeżdżają: takie jest ich zdanie, nawet nie polecenie.

Tuż po apelu esesman dał się: „Arbeits-Kommando antreten!” Po ubitej ziemi stukają tysiące drewniaków. Prędeż, prędeż!

Przekleństwa kapów i vorarbeitrów mieszają się z jękami tych, którzy to Kommando tworzyli. „Buna... Bunawerke!” W odległych barakach już wiadano: kolumna wyrusza budować IG-Farben Bunawerke.

Buna to oczywiście chemiczny skrót. Można powiedzieć, że to znaczy guma. Po prostu Butadien i po prostu Natrium. Razem — BUNA. Chemicy powiadają — kauczuk, więźniowie powiadają — śmierć.

IG Farben stawiał fabrykę po swojemu, po faszystowski: dniówki wypłacano pejcami, morderstwo było premią. Najprzód więc — niwelacja gruntu. „Kommando antre-teenen!” Maszerowali Rosjanie, Francuzi, Polacy, Włosi. Potem wracali długim, brudnym, chwiejnym szeregiem. Za szeregiem auta. Na autach ci, których na drugą zmianę złuzowała śmierć.

Potem — budowanie urządzeń. „Kommando-antreten!” „Buna! Buna!” — darli się esesmani, jazgotowały psy. Te nie krzyczały „Buna”, one po prostu przegryzały grdykę. Ze stalowego szkieletu kotła, z wysokości szóstego piętra zleciał więzień. Jadł raz na dzień brukiew i — spadł. Wszystkim zakręciło się w głowach, ale tamten leżał już spokojny, nieruchomy, bezkształtny. Tam, gdzie spadł, betonowano podłogę pod fabryczną halę. Ktoś tam popatrzył na zmiażdżone ciało w przekrwawionym pasiaku, ktoś inny dał znak ręką z otwartej mordy maszyny chlusnął beton. Zwalisty walec przejechał dostojnie dalej: już była podłoga, równa i gładka jak sztuczne lodowisko. Do dziś nikt nie wie, kim był człowiek, któremu na rusztowaniu zrobiło się słabo: Rosjanin czy Żyd? Niemieccy majstrowie przystawali w tym miejscu, stukali z rozważą obcasami w beton. „Schön, schön — mówili — podłoga prima!”

...Śmierć maszerowała zawsze z kolumną i z czasem przywyknęto do jej towarzystwa.

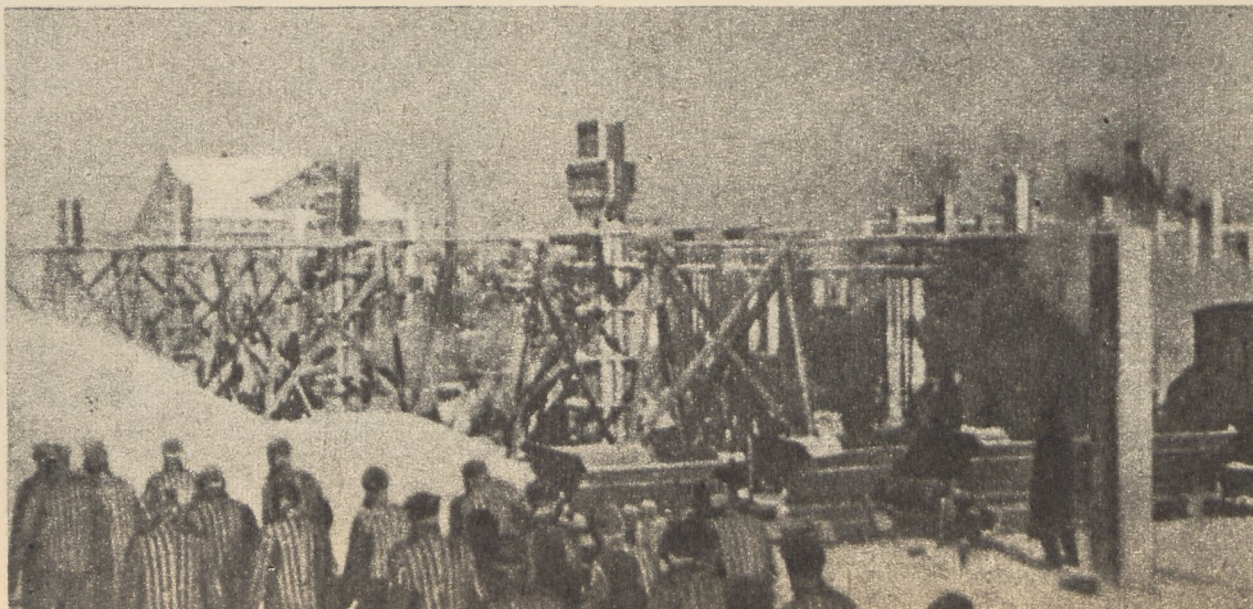
Tak budowano osławioną „Bunę”. Herman Schmitz podpisywał czeki, urzednicy podciągali rękawki. Prace laboratoriów pochłaniały olbrzymie sumy. Tylko szybkość budowy może pokryć rozchody. A zatem — „Mützen auf!” Antreten! „Bunaaa!”

Dalszy ciąg nastąpi



Półowę siły roboczej przy stawianiu dla IG-Farben osławionej „Buny” stanowili więźniowie oświęcimskiego obozu. Na zdjęciu kał narodów Europy, Himmler (pierwszy z prawej), dokonuje inspekcji obozu w Oświęcimiu

IG-Farben stawiał fabrykę po swojemu, po faszystowsku: dniówki wypłacali pejcami, morderstwo było premią. Na zdjęciu „Kommando” oświęcimskich więźniów maszeruje w czasie zimy na miejsce budowy „Buna - Werke”





Ktoś zauważył niedawno z przekąsem, że nie do pomyślenia jest warszawska piosenka, w której nie byłoby nic o murarzach. Nie chcemy, by powiedziano to samo o dziale „10 lat”, ale... Sezon budowlany trwa u nas obecnie od 2 stycznia do 31 grudnia. Co robili murarze przed wojną, gdy zima wytrącała im kielnie z rąk? Oto dziewięciu murarzy pochyla się nad swą przeszłością...

Nr 8

15—21 lutego 1954

WŁADYSŁAW GÓRECKI

Człowiek łamał sobie głowę, co będzie jutro



Władysław Górecki, lat 48 — zasłużony budowniczy MDM-u. Wyrabiał do 400% normy. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz srebrną i złotą Gwiazdą Pracy.

Zdjęcia: Z. Malek

MIECZYŚLAW BOGUMIŁ

O pierwszej w nocy stawałem w kolejce



Mieczysław Bogumił, lat 48 — murarz na MDM-ie. Wyrabiał ze swoją grupą do 300% normy.

Nieraz patrząc na śnieg przypominam sobie tamte czasy: jak się zaczynała zima — zwalniano murarzy z pracy. I co wtedy robić? Człowiek chwycił się byle jakiej roboty. Ludzie pchali się do zgarniania śniegu, ale i do tej roboty nie łatwo się było dostać. Trzeba było co najmniej o pierwszej w nocy stanąć w kolejce przed Magistratem, żeby zatrudnić. Bo ludzi

było zawsze mnóstwo. Ale jak zapisali na robotę, to tylko na jeden dzień. Nazajutrz znowu w nocy trzeba było wystawać pod Magistratem. I nieraz czekało się na próżno. Jak można było z tych paru złotych utrzymać żonę i dwoje dzieci? Zimno było w domu i głód dobrze dokuczał. Takie to były moje „murarskie” zimy.

ALEKSANDER KISIELOW

Zimą ratował nas lombard

Nazywano mnie „majowym” robotnikiem. I słusznie. Bo dopiero koło maja zaczynałem pracę na budowie. Zimą to „ratowałem” nas lombard.

Był lombard w Ratuszu przy Placu Teatralnym. Tam zanosili się papierosnice lub obrączki. Płacili kiepsko i zdzierali lichwiarski procent. Ale co było robić? Żeby pożyczyć 10 zł trzeba było dać coś za 30 zł. Z tego odtrącali jeszcze 2% za jeden miesiąc. Jeśli do trzech miesięcy nie mogłem pieniędzy zwrócić, pobierali dodatkowo 10%, a potem podatek był jeszcze większy.

Zona robiła w fabryce Wasilewskiego „Stalówka”. Na lato ją zwalniali. Nie opłacało się fabrykantowi trzymać robotników w okresie dużych wakacji szkolnych. Nie było wtedy tak dużego zapotrzebowania na stalówki. Zapomogę nie zawsze udało mi się otrzymać, bo trzeba było wyrobić 8 miesięcy, żeby dostać jedną dniówkę na 10 dni w czasie zimy. A jak wszystko było w porządku, to jeszcze stało się godzinami przed Pośrednictwem Pracy, żeby ostemplowali kartę bezrobocia. To była ich kontrola, że się nigdzie nie pracuje.



Aleksander Kisielow, lat 49 — murarz, jeden z przodujących budowlanych Muranowa.

JAN WOŹNICKI

Murarz robił bambosze



Jan Woźnicki, lat 49 — członek przodującej brygady w Elektrociepłowni Żerań.

Murarz robił bambosze. Tak było. I cieszyłem się, że coś zarobiłem. A i ten zarobek to też mi się szczęśliwie udało. Mój kolega murarz, też wtedy bez pracy, miał jeszcze parę groszy, kupił trochę filcu i wziął mnie do pomocy. Dostawałem od niego 7—8 zł na tydzień jak „interes” trochę szedł.

O każdą pracę w okresie zimowym było bardzo trudno, a nieraz zaczynało się pracować dopiero w lipcu. Kiedy dorwałem się do roboty murarskiej, to musiałem tak kombinować, żeby sobie kupić trochę kapusty i kartofli na przetrwanie. Matka była robotnicą w przędzalni. Ona mi pomagała. Ale jak się ożeniłem, przyszły dzieci, to naprawdę nie wiadomo było, jak koniec z końcem związać.

A przecież byłem dobrym fachowcem...

Zawsze na zimę nas zwalniali



Marian Gadzinowski, lat 26 — murarz Elektrociepłowni Zerań. Wyrabia do 200% normy.

Na cztery lata przed wojną dostałem się na budowę. Zawsze na zimę nas zwalniali. Żywili mnie wtedy rodzice.

Ale w 1937 roku to mi się naprawdę udało. Dostałem się do fabryki Buchlego, no i zarabiałem. Nie byłem przynajmniej ciężarem dla rodziców. Tak — to była najlepsza zima. Ale już rok 1938/39 był ciężki. Nie tylko mnie zwolnili, ale i ojca, który był cieślą w firmie Nessler-Fahrenbach. Nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu z matką wzięliśmy się za handel. Jeździliśmy na wieś, kupowaliśmy jaja, masło, drób i odstawialiśmy do sklepów lub sprzedawaliśmy na rynku. Choć zyski były nie-najgorsze, ja w tym zawodzie czułem się bardzo źle. Moje miejsce było przecież na budowie.

ADAM POTOCKI

Pokątnej roboty dostarczał mi dozorca

Przed wojną mieszkaliśmy ze swoją rodziną w wilgotnej, ciemnej, ciemnej suterenie bogatej kamienicy na Mokotowie przy ul. Konduktorskiej 6. Za tę norę płaciłem 15 zł. miesięcznie. Dzisiaj mam jasne, suche, dwupokojowe mieszkanie, z centralnym ogrzewaniem, łazienką, światłem elektrycznym. Córka nie zachoruje już, jak wtedy, na oczy z braku dziennego światła.

Pracowałem 4—6 miesięcy w roku. Zapomogi więc nigdy nie

dostałem. Łapałem się każdej roboty jaka popadła. Chodziłem do sprzątania śniegu, najmowałem się u furmana, który miał swojego konia, i pomagałem mu wywozić śmieci. Pokątnej roboty dostarczał mi czasem znajomy dozorca. Ale za to, że mi narał naprawę jakiegoś pieca lub nawet przepchanie rury, musiałem mu oddać połowę swego zarobku. Inaczej to znalazłby innych, tak samo bezrobotnych jak ja.



Adam Potocki, lat 45 — na budowach Muranowa wyrabia ponad 200% normy.

BOLESŁAW STRYCH

Na gliniankach rąbałem lód



Bolesław Strych, lat 52 — murarz, jeden z przodujących budowniczych Muranowa.

Moje dzieci mają maturę. Są już na stanowiskach. Jeden syn jest w szkole oficerskiej, córka pracuje jako ekspedientka w PDT, druga jest maszynistką, a młodsze chodzą do szkoły. Ja nie mam żadnego wykształcenia. Już od małego chłopaka musiałem zarabiać. Byłem pomocnikiem u rzeźnika. Płacił bardzo marnie, a pracować musiałem dzień i noc. Potem koledzy wciągnęli mnie na budowę. Zarabiał się lepiej, ale robota była sezonowa. Zimą na specjalnych gliniankach w Markach pod Warszawą rąbałem lód. Pracowało się 8—10, a nieraz 12 godzin. Dostawałem za to około 4 zł. Czasem pożyczyłem trochę pieniędzy i kupiłem za to na wst trochę taniej świnie. Pokątnie rozsprzedałem ją w mieście i tak zostało coś na jedzenie.

EDWARD SOBCZAK

Sprzedawałem ozdoby choinkowe



Edward Sobczak, lat 50 — wielokrotny przodownik pracy, odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Zastępcy budowniczego Starego Miasta.

„Dziadowizna” — tak nazywaliśmy zapomogę w postaci suchego prowiantu. Składały się na nią kasza, mąka, słonina. Było tego jednak tylko tyle, żeby człowiek nie zdechl z głodu. Dawali ją tym, którzy nie pracowali ośmiu miesięcy i nie mogli przez to zarobić sobie na pomoc pieniężną w okresie zimowym. Stale kombinowałem, żeby wynaleźć sobie jakąś do-

datkową robotę. Przed świętami sprzedawałem czasem przed halą Mirowską ozdoby choinkowe, a nieraz szuflowałem śnieg.

O tym, żeby moje dzieci mogły wyjechać w góry, nie śmiałem nawet marzyć. A dzisiaj były one już w Szklarskiej Porębie, a ja wysłany zostałem na dwa tygodnie na wycieczkę do NRD.

WŁADYSŁAW PRZYBYSZ

A ja musiałem siedzieć w domu



Władysław Przybysz, lat 46 — murarz Elektrociepłowni Zerań. Wyrabia ponad 200% normy.

Przed wojną mieszkaliśmy w Łodzi. Pracowałem w firmie Paweł Holz, która prowadziła czasami roboty rządowe. Tak się składało, że zawsze otrzymywałem zimą zapomogę. Poza tym żywiłem się u rodziców. Ojciec

był majstrem farbiarskim, a matka tkaczką.

Ciężko mi było patrzeć, jak rodzice pracują, a ja musiałem siedzieć w domu. Rwałem się do pracy, ale nie chcieli nam jej dać.



Sprzedawcy zjeżdżają tu z wózkami, inni siedzą na ziemi obok swych „towarów”

Ujrzałem coś wręcz przeciwnego: targ biednych ciągnął się wzdłuż całej ulicy, jego krańce ginęły gdzieś daleko we mgle. W pewnych godzinach dnia, przeważnie około południa, ściągają tutaj sprzedawcy z wózkami, którzy od rana już jeździli po mieście z okrzykiem: „Voglio comprare cose vecchie” obwieszczając, iż skupują odpadki i używane rzeczy. Myślałem zawsze, że cała ta starzyzna wędruje, zależnie od rodzaju, do huty jako złom, do fabryk papieru itp. Tymczasem tylko nieznaczna część tam jest odstawiana; olbrzymia większość trafia na targ biedoty.

Z jednej strony targ ten jest źródłem utrzymania dla kilkuset dziwnych kupców, rekrutujących się często spośród zrujnowanych „prawdziwych” sklepikarzy. Z drugiej strony każdy, kto nie jest w stanie wyżyć się ze swoich nędznych zarobków, również występuje tam w charakterze sprzedawcy: własnej starej garderoby, zepsutego telefonu, używanej książki. „Transakcja” dokonana na targu pozwoli mu na zjedzenie obiadu czy kolacji. Nierzadki to widok: idzie wolno ulicą starzec z przewieszoną przez ramię starą marynarką. Jest to człowiek samotny, bezdzietny, nie może liczyć na niczyją pomoc, nie zdecydował się również na żebraninę. Z takim najłatwiej dobić targu: sprzedaje wszystko za połowę rzeczywistej wartości.

Nie mniej interesującymi osobistościami są kupujący. Przychodzi tu zaopatrzyć się każdy, kogo nie stać na kupno w zwykłym sklepie — a tacy stanowią poważny procent mieszkańców Rzymu. Przecież nawet ci, którzy szczęśliwym przypadkiem uzyskali pracę, zarabiają ledwie na wyżywienie siebie i rodziny — a gdzież mowa o kupnie ubrania, butów? Tutaj żony biedaków kompletują sobie urządzenia gospodarskie, tu przychodzi po żelazny piecyk, po statuetkę Madonny, która ma stać nad łóżkiem. Wielu chłopców sprzedaje niedopałki papierosów; przecież w budżecie znacznej części robotników nie mieści się wydatek na tytoń.

Instrument muzyczny, hełm z roku 1915, suknia balowa sprzed 20 lat, szkielek od okularów, zegarek, butelka, rower, mapa — każda rzecz normalnie wyrzucana do śmieci, znajduje swoje miejsce na rzymskim targu biedaków.

Wielki ruch na tym targu jest najprawdziwszym wskaźnikiem ekonomicznym: oznacza, że tyłu to właśnie mieszkańców Rzymu nie może sobie pozwolić na sprawunek w sklepie, gdzie sprzedaje się nowe, czystutkie towary.

Zapełnia się rynek biednych. Niejeden mały sklepik w mieście ma coraz mniej obroty i wreszcie bankrutuje. Zbankrutowani kupcy i ich dawni klienci przyłączają się do tłumu, który krąży wśród odpadków wielkiego miasta.

TARG BIEDAKÓW

ĆLEMENTO RONCONI

Korespondencja własna „Świata” z Włoch

Rzym, w styczniu 1954.

Według opublikowanych w styczniu danych włoskiej Komisji Parlamentarnej, we Włoszech „32.000 rodzin mieszka w grotach albo piwnicach, 896.000 rodzin nie konsumuje nigdy wina, mięsa ani cukru, a 1.032.000 rodzin spożywa te artykuły tylko w minimalnych ilościach”.

O D PEWNEGO czasu wychodziłem do pracy o świcie. Zstępując po schodach, zauważyłem kilkakrotnie, że kosze ze śmieciami, które wystawiane były na podwórze, są powywracane, a część śmieci rozsypana.

Początkowo myślałem, że sprawcami tych czynów są koty, myszkuje w śmieciach za odpadkami jedzenia; przecież nasze podwórze jest istną kolonią kotów wszelkiego gatunku.

Pewnego poranka przygotowując się do wyjścia z domu, usłyszałem charakterystyczny brzęk przewracanego kosza i jakiś rumor na podwórzu.

Zbliżyłem się ostrożnie do drzwi, choć odsunąłem zasuwę i szybko zbiegłem ze schodów. Tuż przed brama dwaj czternastoletni może chłopcy, z workami przewieszonymi przez ramię, grzebali w koszach od śmieci. A więc nie były to koty.

Korzystając z mego zaskoczenia, rzucili się do ucieczki. Chwyciłem jednego z nich za ramię:

— Co tutaj robisz, szachraju?

— Nic, wyjąłem tylko pocztówkę z kosza; niech pan mnie puści, nic nie zrobiłem!

Zabrałem go do domu i prosiłem, żeby mi wszystko wyjaśnił.

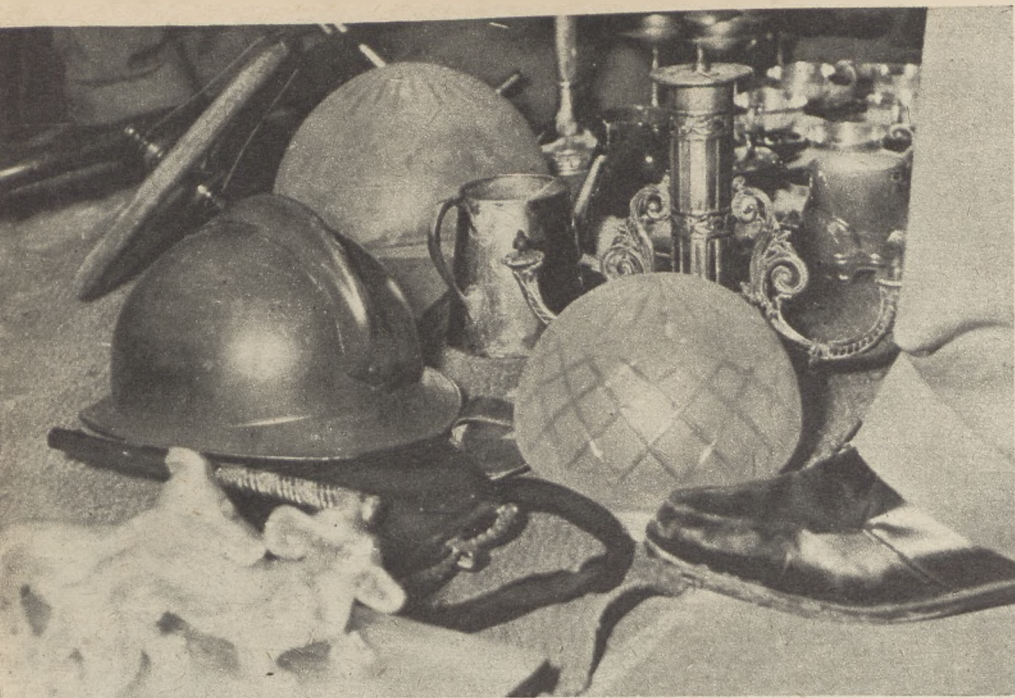
A więc było tak. Codziennie rano wstawali jeszcze przed świtem i obcho-

dzili podwórza w poszukiwaniu butelek, gazet, starych butów i innych odpadków, które nadają się jeszcze do sprzedaży na targu zużytych przedmiotów. Opowiadał mi, że z tego żyją on, jego brat i ojciec, bezrobotny inwalida.

Każdej niedzieli i każdego wtorku odbywa się w Rzymie targ zużytych przedmiotów. Sprzedawcy zjeżdżają tam z małymi wózkami, inni siedzą na ziemi obok stert swoich „towarów”.

Targ bywa zwykle pomostem pomiędzy producentem a konsumentem. Może występować tam producent rolny, może to być rzemieślnik, ogrodnik i tak dalej. Ale jakież charakter może mieć targ odpadków? Jest to pomost pomiędzy konsumentami różnych dóbr, a konsumentami dóbr już skonsumowanych. To nie jest tylko gra słów, a coś więcej: to rzeczywistość.

Udałem się pewnej niedzieli, aby obejrzeć ten targ; sądziłem, że jest niewielki.



...Rower, helm z roku 1915, szkiełko od okularów, zegarek, butelka — każda rzecz wyrzucana do śmieci znajduje swoje miejsce na rzymskim targu biedaków...



Nawet ci, którzy szczęśliwym przypadkiem uzyskali pracę, zarabiają ledwie na wyżywienie własne i rodziny; ubranie, buty mogą kupić tylko na tym targu...



Wielu chłopców sprzedaje niedopałki papierosów, gdyż w budżecie znacznej części robotników nie mieści się wydatek na tytoń. Oto najświeższa porcja „towaru”...

GŁOSY O POLSCE

Jack Lindsay

Jack Lindsay, współczesny pisarz angielski, urodził się w roku 1900 w Australii. Już w okresie studiów interesuje się żywo zagadnieniami polityczno-społecznymi. Po ukończeniu studiów poświęca się całkowicie pracy literackiej i publicystycznej. W Polsce znane są następujące książki Lindsaya: „Ludzie 1848 roku”, „Opowieść o roku 1649”, „Stracone prawo”, „Luny nad Smithfield”. Wkrótce ukażą się jego „Pastorałki”.

Cały swój wysiłek twórczy poświęca Lindsay walce o postęp i pokój. W roku 1948 bierze udział w Kongresie Wroclawskim. Jest czynnym działaczem angielskiego ruchu obrońców pokoju.



W CIĄGU dziesięciu lat istnienia wskrzeszonego państwa polskiego dokonano wielu niezwykłych osiągnięć, przynoszących zaszczyt Wszemu krajowi. Imponujące dzieło budowy i odbudowy oraz niesłabnące poparcie dla sprawy walki o pokój uczyniły Polskę jednym z największych ognisk nadziei i pomyślności, do którego biegnie pełen ufności wzrok tych wszystkich, którzy walczą o pokój, o bezpieczne i dostatnie życie na świecie.

Nie było to bynajmniej dziełem przypadku, że tak doniosły — w naszych czasach — ruch — ruch w obronę pokoju został zapoczątkowany we Wrocławiu, na polskiej ziemi, wśród strasznego świadectwa tego, czym jest nowoczesna wojna. Osobiście poczuwam się do szczególnego długu wdzięczności wobec Polski za podjęcie tej akcji.

W 1948 r. byłem we Wrocławiu i wiem, jak potężny narodził się tam wtedy entuzjazm dla sprawy braterstwa pomiędzy ludźmi. Kongres ten stał się momentem przełomowym zarówno w moim życiu, jak i w mojej twórczości. Naraz rozszerzyły się moje horyzonty, świat cały przepełnił blask lepszego zrozumienia. Wiele z tego, co przedtem w myślach i pragnieniach istniało jako coś abstrakcyjnego, nabrało dla mnie zdecydowanie realnych kształtów, nabrało życia i stało się nieodłączną częścią codziennej walki.

Świadomość tego, że oto skupiają się siły ludowe walczące o pokój, że w ogniu walki głoszą te same sprawiedliwe hasła, w imię których szerokie masy ludu walczyły podczas wojny przeciw faszyzmowi — wszystko to było dla mnie bezpośrednio związane z odnalezieniem Nowej Polski.

Polska była pierwszym z krajów nowej demokracji w Europie wschodniej, który odwiedziłem. To, czego tam doznałem, podniosło mnie i umocniło na duchu. Kiedy chodziłem ulicami Warszawy i patrzyłem na ludzi, na ich pracę wykonywaną wśród gruzów i ruin, czułem, jak wszędzie dokoła pulsuje pełna dumy żywotność. Odnosiłem wrażenie, że oto patrzę na najdoskonalsze uosobienie człowieczeństwa, że widzę, jak w braterskim i twórczym zespoleńiu człowiek zмага się z żywiołem.

Wszystko to objawiło mi się z mocą, jakiej nigdy przedtem nie zaznałem, ukazało się z taką prostotą i siłą, które przerastały możliwość wypowiedzenia słowami tego, co czuję, a jednocześnie zmuszało do wyrażenia tego wszystkiego piórem.

Jakże można było po doznaniu podobnych przeżyć ulec odruchom rozpacz lub bódaj na chwilę oderwać się od tych istotnych zagadnień, jakie życie stawiało przed każdym człowiekiem?

Na wszystkim, co — począwszy od tej chwili — napisałem, na najgłębszej jego

i najserdeczniejszej treści widnieje podpis narodu polskiego. Usiłowałem bowiem nieustannie dawać w mojej pracy wyraz tego niezapomnianego wzruszenia, tej zrodzonej we mnie wiary w bezgraniczną odwagę człowieka i w jego zdolność do ponoszenia ofiar na rzecz słusznej sprawy.

Kiedy w 1951 r. ponownie przybyłem do Polski, ta moja wiara w nieprzebranne siły narodu polskiego znalazła swoje tysiąckrotne potwierdzenie. Widziałem nie tylko wspaniałą rozmach i subtelne zrozumienie artystycznych wartości, którym kierowano się przy odbudowie zniszczonych miast, lecz również imponujące budownictwo przemysłowe, jak np. Nowa Huta.

Jako pisarz angielski jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę się powołać na dawne tradycje naszych pisarzy, którzy podtrzymywali naród polski w jego walce o wolność i sprawiedliwość. W czasach Rewolucji Francuskiej nasz poeta Campbell napisał słowa, które szerokim echem rozległy się na świecie i w dużej mierze przyczyniły się do zwrócenia uwagi na sprawę polską: „And Freedom shrieked as Kosciuszko fell” (I rozległ się jęk wolności, gdy padł Kościuszko!).

Campbell całe życie pozostał wierny uczuciu, które wyraził w tych słowach, i spalił się w swej niezmordowanej akcji na rzecz walki o niepodległość Polski. W ciągu całego XIX stulecia nasi najbardziej postępowi pisarze kontynuowali tradycje Campbella, a dziś odżyły one wśród tych naszych poetów, którzy są prawdziwymi demokratami.

Uparta energia i niezłomny duch narodu polskiego, znajdujące swoje odbicie w odważnym pokonywaniu trudności związanych z odbudową tak okrutnie zniszczonego kraju, sprawiły, że Polskę Ludową otacza dziś szczególna sympatia wszystkich, którzy zdają sobie sprawę z tego, o jaką wielką stawkę toczy się walka w otaczającym nas świecie. Bez przerwy rosną szeregi prostych ludzi, rozumiejących to — wbrew wysiłkom prasowej i radiowej propagandy wrogów.

Spółeczeństwo brytyjskie rozumie coraz lepiej, że niezbędnym warunkiem zapewnienia sobie całkowitej niezależności i dobrobytu jest utrzymanie z Nową Polską stosunków na stopie całkowitej równości.

Nigdy przedtem nie zajmowała Polska tak zaszczytnego miejsca w świecie. Z wdzięczą je swej wyzwolonej sile, swej wierze w człowieka, swym śmiałym poczynaniom i żarliwemu ich realizowaniu, swym tak szeroko pomyślanym planom odbudowy i swemu gorącemu umiłowaniu pokoju.

Tylko bowiem pokój umożliwi urzeczywistnienie podobnych planów.

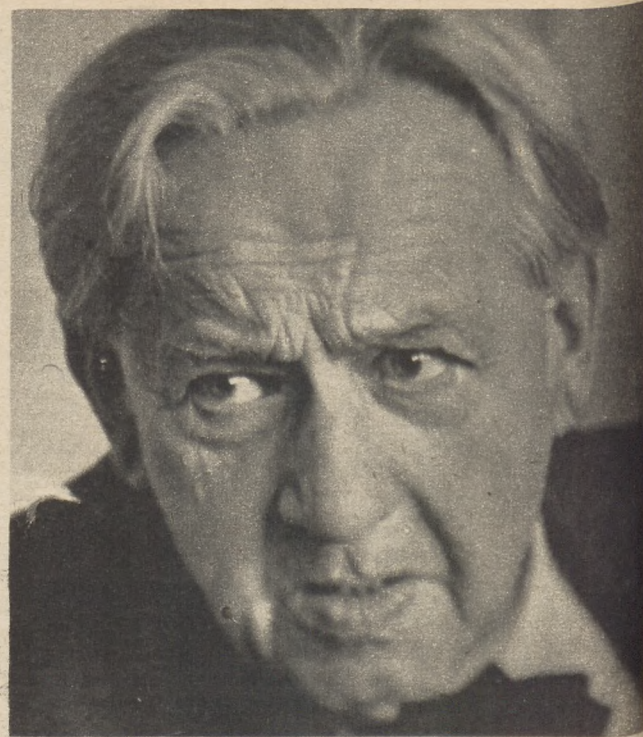
LONG AND DEDICATED STRIVING OUT OF HER PLANS FOR RECONSTRUCTION, AS TO THE FRIENT LOVE OF PEACE WHICH ALONE MAKES POSSIBLE SUCH PLANS.

Jack Lindsay

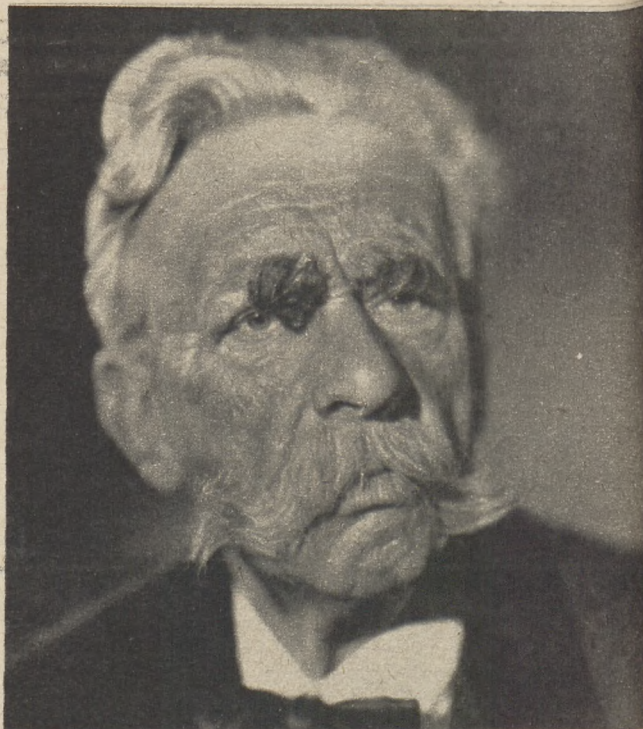
Jack Lindsay



...w „Sprawiedliwych ludziach“



Aleksander Zelwerowicz



„niedościgniony „Pan Damazy“ w komedii Blizińskiego

ROZMYŚLANIA JUBILEU

Napisała: MARIA DULĘBA

ZELWEROWICZ otwiera pochód wspaniałego pokolenia aktorskiego i idzie na jego czele — tego pokolenia, które, po Solskim, Kamińskim, Frenkle i innych wielkich, upomniało się o swoje prawa na scenie polskiej. Uchyła i dziś czoła przed naszym czcigodnym nestorem, a jednym z pierwszych swoich dyrektorów, Ludwikiem Solskim, i podaje rękę naszym przyszłym najmłodszym kolegom w szkole dramatycznej. Tak mniej więcej wygląda jego obecna sytuacja w historii sceny narodowej. Ale, będąc jednym z najstarszych, pozostaje w dalszym ciągu jednym z najmłodszych duchowo, jak chciał tego przez całe swoje bujne sceniczne życie. Ten wielki aktor i równie twórczy reżyser miał zawsze pasję nauczania. O Zelwerowiczu-pedagogu można napisać osobne studium.

Kiedy się zastanawiam, na czym polegała istota jego działalności artystycznej (bo każdy z nas posiada w sobie coś w rodzaju dwóch biegunów orientacyjnych albo „świętych rekwizytów“), dochodzę do przekonania, że w Zelwerowiczu tymi „świętymi rekwizytami“ były: ogień i zegarek.

Postaram się wyjaśnić, dlaczego tak myślę. To wcale nie jest dziwaczne zestawienie.

Nie zapomnę, jak kiedyś, bardzo dawno temu, wyszłam wcześniej niż zwykle na przedstawienie. Idę i idę, i jak zawsze, więcej marzę niż widzę, co się naprawdę dokłada mi dzieje. Nagle słyszę, ktoś mnie woła potężnym głosem:

— Marysiu! Marysiu! Prędko, prędko!

To z pędzącej dorożki wołał tak na mnie Zelwerowicz. Zatrzymał dorożkę:

— Pojedziesz ze mną!

— Dokąd?

— Zobaczą!

Zachowanie się jego nie było zwykłe. Pojechaliśmy. Zo-

baczyłam pożar. Żywił ognia obejmował szereg domów. Płomienne języki szalały jak potępione. Dom (pomyślałam), bezdomni ludzie, dzieci bez dachu nad głową, psy, koty przerażone itd. Sentymentalne skojarzenia. Ale oczy obok mnie błyszczały jakąś zupełnie inną treścią. Nie mogąc jej zrozumieć, określiłam to modnym wtedy frazesem „demonizmu“.

Po wielu latach dowiedziałam się przypadkowo od p. B., przyjaciela rodziców Zelwerowicza, a wówczas administratora domu, w którym mieszkaliśmy, o przygodzie niemowlęcego Olesia. W czasie pożaru domu, uratowany i posadzony na trawie, szalał sam jak mały płomień. Nie jest to nowe odkrycie, że dzieciństwo najmocniej nas kształtuje. Ciekawsze, że nieraz decyduje o naszych pasjach.

Drugą tajemnicą Zelwerowicza, której dotąd nie odcyfrowałam, było jego niemal maniackie współzycie z zegarkiem. Nie pamiętam, abym spotkała człowieka, dla którego zegarek byłby w równym stopniu „drugim ja“. Zdało mi się, że ten człowiek oblicza w wszystko co do sekundy. Spóźnienie na próbę, dosłownie c sekundę, wywoływało znany nam wszystkim gest: milczące spojrzenie na zegarek. Najwyższy stopień wymówki. Początek i koniec prób, czas trwania poszczególnych scen i aktów, wszystko się odbywało z tym nieubłagany reżyserskim czasem. Zelwerowicz łączył z tym pojęcie dyscypliny, której od nas, aktorów, a przede wszystkim od siebie wymagał. Zdało się zawsze, że ten człowiek jest w zмовie z czasem.

Obejmując dotychczasowy całokształt pracy twórczej tego wielkiego aktora i reżysera, jakże łatwo dzisiaj wytłumaczyć, że żywił ognia wewnętrznego opanowywany tu był świadomie przez zimną maszynę mierzącą czas. Jest w tym trochę prawdy. Ten człowiek nie stracił chyba w życiu ani jednej chwili. Nie mogłam nigdy zrozumieć, jak

można żyć tak intensywnie, bez żadnej pauzy. Oprócz podziwu dla artysty miałam również podziw dla Zelwerowicza jako dla człowieka — bez przesady — wulkanicznego.

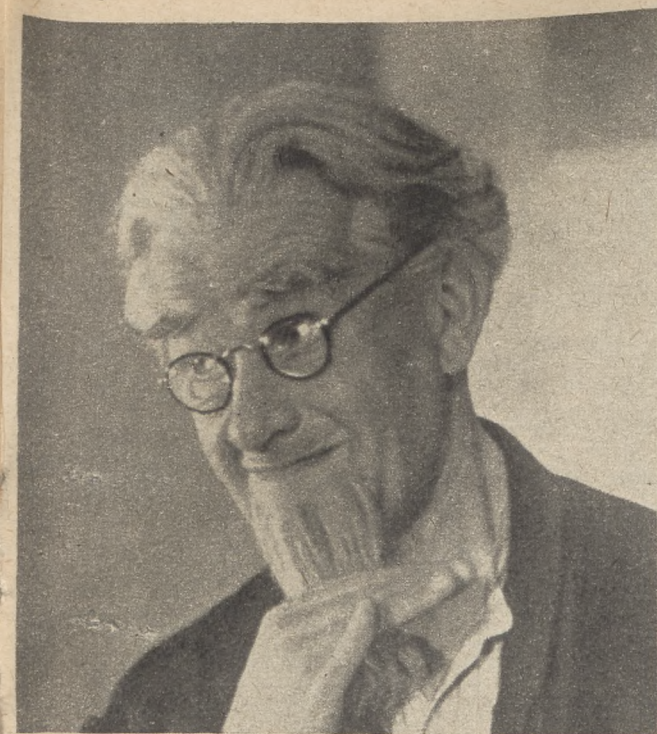
Dopiero w „Reducie“ odpocząłam od atmosfery, którą rozciągał w Teatrze Polskim Zelwerowicz. W „Reducie“ czas się nie liczył, tu był drugi biegun Zelwerowicza — Osterwa. Sztuka powoli dojrzewała, niejako przyrodniczo, gdy Zelwerowicz był wyznawcą raczej inżynierskiego, technicznego montowania ludzkich spraw na scenie. Po między Zelwerowiczem i Osterwą, dwoma biegunami sztuki i rzemiosła aktorskiego, balansowaliśmy przez długie lata, raz jednemu, raz drugiemu przyznając szczególne racje. A właściwie obaj dopełniali się znakomicie.

Na jeden z jubileuszów Zelwerowicza posłałam mu kiedyś ulubiony grząz (owinąwszy go w kwiaty), hinduską laskę, całą z kości słoniowej, pokrytą dziwaczną rzeźbą i niepojętymi znakami liter. Miało być w tym uznanie dla jego despotyzmu reżyserskiego i jednocześnie aluzja do jego, często trudnej do odczytania, psychiki artystycznej.

Istnieje, jak wiadomo, wiele odmian realizmu aktorskiego. Zelwerowicz jest zaprzeczeniem zimnego realizmu. To zawsze realizm żywiołu, czegoś w swojej istocie romantycznego.

Żywił aktorski Zelwerowicza przybiera nieskończoną ilość masek. Każda nowa rola to nowy żywy portret. Zelwerowicz był i jest mistrzem charakterystyki. Jakże często nie można było poznać twarzy tego, kto wchodził na scenę. Na przykład Baron w „Ten, którego biją po twarzy“ Andrejewa lub „Pan Damazy“ Blizińskiego, albo Norrison w „Raz, dwa, trzy“ Molnara. Potok słów wypowiedzianych przez Zelwerowicza na scenie miał za takie tempo, że bił wszystkie rekordy aktorów polskich. Przy tym żadne słowo nie było polknięte.

Pierwszą chyba rolą, jaką grałam z Zelwerowiczem, była Petra we „Wrogu Ludu“ Ibsena, w Teatrze Polskim



Józef Poleszak w „Niespokojnej starości” Rachmanowa



„Dziadek w sztuce Brandysa „Sprawiedliwi ludzie”

S Z O W E

najpóźniejszą, już teraz po wojnie — partnerowanie mu w „Inspektorze” Priestley’a. Przebiegając w myślach bardzo wiele sztuk, w których z nim grałam, albo przez niego reżyserowanych, próbuję odpowiedzieć sobie, na czym głównie polega niepowtarzalność aktorstwa Zelwerowicza? Jaki to szczególny rodzaj? I znajduję jedną z odpowiedzi. Mianowicie, pewne wiadomości, jakie dochodzą do nas o nowej sensacji teatralnej Paryża „Theatre en rond”, wyjaśniają sztukę Zelwerowicza w nowy i bardzo ciekawy sposób. Artykuł w jednym z ostatnich numerów „Les Lettres Francaises” na temat tego „teatru w kole” mówi przypadkowo jakby o grze naszego dzisiejszego jubilata. W takim teatrze, umieszczonym w kole, może tworzyć tylko aktor, grający całym sobą, którego każdy gest, każdy szczegół mimiczny jest ważny. Aktorzy nie są tam zwróceni do widowni, bo widownia zewsząd ich otacza. Grają tak, że trzeba ich podglądać, a nie tylko na nich patrzeć. Ani na chwilę nie odpoczywają na scenie („les vrais acteurs, qui n’aiment pas s’endormir”). To już ma nawet swój nowy „izm”, jak to we Francji jest w zwyczaju: „intimisme”. Odtóż ta wewnętrzność gry Zelwerowicza, mimo rozmachu i szerokich rysów charakteru, w których ten aktor celuje, to może największy sekret jego sztuki.

Zbiegiem okoliczności debiut teatralny Zelwerowicza odbył się w gmachu cyrku na Ordynackiej, jak wspomina o tym Horzyca w swoim świetnym studium o artyście. A teraz przychodzi na myśl ten nowy teatr - arena, jako architektura sceniczna... Są aktorzy, którzy udzielają się widowni w mniejszym lub większym stopniu, ale któż tak bez reszty i żywiołowo, jak Zelwerowicz?

I dlatego umieszczam go dziś, w wyobraźni, w środku takiego teatru-kola, który wszystkie dawne jego najwspanialsze postacie sceniczne pozwala oglądać w nowych wynalazkach. Jak w filmie plastycznym, trójwymiarowym. Dzieło twórczości aktorskiej Aleksandra Zelwerowicza należy do zjawisk w sztuce najwspanialszych.

Zdjęcia: COPA



Zelwerowicz w „Grzechu” Żeromskiego. W tej samej roli — Jaskrowicza — wystąpił na swoim jubileuszu.





...gdzież ta „Hanneskou“?... Kapitan Wacław Kaszubowski na pokładzie „Posejdona“. Obok niego oficer Zygmunt Lesisz jeszcze lornetuje przestrzeń.

„Posejdona“ wzywają na pomoc — trzeba ruszać. Ale w przygotowaniach nie może być żadnego uchybienia. Dziób statku w czasie przygotowań do wyjazdu.



Thank you

„POSEJDON”

KAZIMIERZ BŁAHUJ

Zdjęcia: E. PODOLSKI

JA HANNESKOU wzywam pomocy — ja hanneskou wzywam pomocy — utknęliśmy w lodach — wzywam pomocy —

Powyższy fragment radiogramu mógłby z powodzeniem służyć jako pierwszy obraz w sensacyjnym filmie o niebezpiecznych podbiegunowych rejsach gdzieś za siedemdziesiątym równoleżnikiem. W ruchomym polu lodowym utknął frachtowiec, który nie zdażył uciec przed nadciągającą falą mrozów. Teraz wszystko: los ludzi, ładunku i statku jest w rękach radiotelegrafisty. Sztynnymi z zimna palcami wystukuje:

— ja hanneskou wzywam pomocy — utknęliśmy w lodach — ja hanneskou wzywam —

Co się stanie z ludźmi? Czy zginą w szczelinach dryfujących pól lodowych? Czy burza śnieżowa zasypie ich na białej pustyni? Czy może usłyszeli ich głos jakiś lodołamacz i przyniesie ratunek? Oto pytania, które do końca filmu trzymać będą w napięciu widza.

Ale reporter nie chce być tak okrutny jak reżyser filmu i zaraz na wstępie wyjaśnia, że s/s „Hanneskou“, duński frachtowiec, nie śle rozpaczliwych sygnałów z siedemdziesiątego równoleżnika, lecz z 53° szerokości północnej i 32° długości wschodniej, a więc, jak łatwo sprawdzić w atlasie szkolnym swego synka czy córki, z Wielkiego Zalewu. Przeto załódze nie grozi śmierć w szczelinach lodowych pól, zasypanie przez burzę śnieżową lub głodowe konanie na dryfującej krcie.

Jednakże radiotelegrafista „Hanneskou“ nie przestaje wzywać pomocy. Kra piętzy się wokół kadłuba, trzeszczą spoiny, śruba bezsilnie miewie za rufą... Niebezpieczeństwo dla statku nie jest mniejsze, niżby rzecz się miała na Oceanie Lodowatym.

By dojść z ładunkiem superfosfatów lub maszyn do portu w Szczecinie — statek musi przebyć trzydziestoseściomilową drogę od Swinoujścia przez Kanał Piastowski i Wielki Zalew. W lecie rejs jest piękną przejażdżką wśród zielonych wysp i przez ogromną nieckę Zalewu. Ale w dniach, kiedy na ulicach warszawskich trzaska dwudziestostopniowy mróz, a nad Bałtykiem — jak powiada spikerka Polskiego Radia — „zalega głęboki wyż barometryczny“ — droga do Szczecina przypomina ów właśnie podbiegunowy rejs. Lody pokrywają Zalew i tworzą wysokie zatory w Kanale Piastowskim. Statki z pilnymi towarami dla Węgier, Czechosłowacji i Rumunii, statki, na które w porcie czeka już polski węgiel grupują się w swinoujskim porcie. Najprościej byłoby czekać na odwilż. Ale na odwilż nie mogą czekać fabryki Łodzi czy Morawskiej Ostrawy ani armatorzy Sztokholmu czy Londynu.

...Tego dnia, o świcie, duński frachtowiec s/s „Hanneskou“ wyruszył samotnie w drogę przez lody, a w dwie godziny później telegrafista Laboga usłyszał w słuchawkach gwałtowne wołanie:

— ja hanneskou wzywam... Odstukał natomiast:

— ja posejdon słucham was na fali dwadzieścia jeden koma osiem —

Z eteru znowu przyniosło morsowe kreski i kropki:

— ja hanneskou stoimy między drugą a trzecią bramą lód dryfuje prosimy o pomoc posejdon zrozumiałeś mnie? —

— ja posejdon na fali dwadzieścia jeden koma osiem tak zrozumiałem zawiadomilem kapitana za dwie godziny będziemy u was —

Alarm na lodołamaczu „Posejdon“ jest zaprzeczeniem wszelkich naszych wyobrażeń o alarmach na statkach. Nikt tu nie śpieszy się, nie słycać tupotu marynarskich butów po żelaznych trampach, jęku syreny, bosmańskich pokrzyków i gwizdów. Pierwszy mechanik Józef Grucza odkłada gazetę, którą czytał był właśnie w messie, i schodzi do maszynowni; kapitan Kaszubowski wciąga wełniany płaszcz dopalając spokojnie

papierosa, ZMP-owiec Horak chowa do szuflady niedokończoną gazetkę ścienną — i „Posejdon“ cicho odbija od nabrzeża. Za nim zostaje miasto, stocznia, fabryki, przytulone do nadodrzańskich wzgórz. Stateczek idzie sam jeden wśród białych lodowych pól na wezwanie, które przysięgło z eteru.

Na próżno szukalibyście w sprawozdaniach Polskiego Ratownictwa Okrętowego, albo nawet w „Książce Okrętowej“ „Posejdona“ jakichś wzmianek, które świadczyłyby o walce z żywiołem. Prozaiczne to wzmianki aż do znużenia: „s/s „Posejdon“ przeprowadził w dniu... 21 statków przez lody...“, „godzina 16.50, wiatr SWS, siła — 7 stopni, prowadzimy w konwoju „Kraków“ i cztery skandynawskie...“ Widać gdzież te zmagania, o których opowiadał tak obrazowo oficer Zygmunt Lesisz?

Najlepiej wyjść na mostek kapitański do samego Lesisa. a i niech się tłumaczy do stu tysięcy zatopionych wraków! Właśnie stoją obaj z Kaszubowskim, kółnierze postawione na sztorc od wiatru i ślepią przez lornety po śnieżnej pustyni zalewu.

Gardziel rzeki Świętej dawno już zniknęła za rufą i teraz wokół nas panuje nieskończona czysta biel. Mgła zamazała niemiecki brzeg — za rogami Nowego Warpna; przed dziobem, co wznosi się i z trzaskiem opada na skorupę lodową — biel. Tylko za nami pozostaje wąski ciemnozielony korytarz wyrąbany wśród polyskliwej tafli, lecz i on zaraz zamknie się napływającą krą.

— Gdzież ta „Hanneskou“? — lornety obmacują horyzont, wyłapują wreszcie drugą bramę, czyli dwie latarnie świetlne, ale ciemnej plamki statku nie widać. Huk pękającej kry przypomina wybuchy granatów. Smolisty warkocz dymu spleta się na szlaku, wiatr roznosi dymne kłaki po nadbudówkach, w gardle łaskoczą sadze.

— Tam, tam! — woła nareszcie Lesisz i wyciąga rękę pod trzecią bramę, co wynurzyła się na wprost posejdonowego dziobu.

Trzeci nawigator, Szczypa, wybiega teraz z całą pokładową załogą do burty. Wiatr dmie od zachodniej ludziom w twarz, tryska kaskadą lodowych okrucichów. Zasłaniają się rękami, tulą głowy w ramiona, a już ze skrzydła wrzeszczy Kaszubowski:

— Pokład gotów?

— Gotóóów...

Grucza w maszynowni daje całą naprzd, „Posejdon“ kurzy jak na parady i „Hanneskou“ zatrzaśnięta lodowymi kleszczami wynurza się z dziobu po lewej stronie. Teraz wszystko zależy od dobrych manewrów. Kaszubowski, wychowanek Szkoły Morskiej w Szczecinie, długoletni pilot na tym szlaku, zna każdy metr toru wodnego. Rozkazy są krótkie, wycelowane...

— Stero lewo na burt...

— Tak trzymać...

Sternik przebiera żebra sterowego koła, „Posejdon“ zawraca, obchodzi zamarniętego Duńczyka, rąbie dziobem lodową skorupę, i to trwa i trwa... Wreszcie Kaszubowski rzuca z mostku:

— Gotuj hol...!

Chłopak w uszance ciska z rufy rzutkę — konopną linę z ciężarkiem — na burtę frachtowca. Stalowa lina dowiezana do rzutki chłascze o wodę, ale ściągnięta na tamtym statku — napręża się jak struna i „Hanneskou“ jest uratowana. Właśnie przed chwilą Kaszubowski postanowił z Lesiszem wciąć statek na hol. Puścić samopas, znowu gdzieś go zatrzaśnie... W kotłowni już sygnia węgiel, „Posejdon“ smoli z komina i obraca się dziobem na południe, na Szczecin.

Kaszubowski jeszcze stoi na skrzydle kapitańskiego mostku i odsalutowuje duńskiemu kapitanowi, który przekrzykując bek syreny, woła:

— Thank you, „Posejdon“...

I to wszystko. Dzień po dniu, noc po nocy tłucze się przez lodowe pola mię-

MARTWCIE SIĘ SAMI...

Z SATYSFAKCJĄ stwierdzam, że dyskusje, toczone się w naszych czasopiśmie kulturalnych, nie odbywają się na zasadzie znanego powiedzenia: „ty sobie gadał, a ja zdrow” — lecz doprowadzają do konkretnych rezultatów.

Przy końcu ubiegłego roku „Przegląd Kulturalny” i „Nowa Kultura” rozwinęły polemikę na temat podręczników szkolnych do nauki języka polskiego i literatury. W polemice tej wysunięto kilka zasadniczych zarzutów odnośnie podręczników szkolnych. Cóż zarzucano dotychczasowym podręcznikom? Przede wszystkim to, że w ocenach dzieł literackich posługiwały się niemal wyłącznie kryteriami socjologicznymi, z pominięciem kryteriów artystycznych. Mówiąc prościej, chodziło o to, że w dotychczasowym wykładzie szkolnym utwory literackie były przedstawiane przede wszystkim jako ilustracje literackie do określonej problematyki społecznej, natomiast nie poświęcano dostatecznej uwagi naświetleniu ich wartości artystycznych. Ten błąd prowadził do poważnych wypaczeń w ogólnym obrazie naszej literatury, uczył młodzież jednostronnej oceny dzieła artystycznego i naruszał prawdziwą hierarchię zjawisk literackich.

Otóż mogę poinformować Czytelników, że postulaty tej dyskusji doczekały się obecnie praktycznej realizacji w pracach Komisji Programowej Języka Polskiego przy Instytucie Pedagogiki.

Na ostatnim swym posiedzeniu Komisja Programowa — przy udziale grona zaproszonych gości — omawiała nowy projekt Instrukcji Programowej Języka Polskiego na rok szkolny 1954/55. Trudno mi w tej chwili i na tym miejscu wdawać się w szczegółową analizę nowej Instrukcji Programowej. Można tylko z grubsza powiedzieć, że autorzy jej starali się uwzględnić postulaty dyskusji sprzed paru miesięcy. Już to samo jest objawem bardzo pociesającym i zachęca do... dalszych dyskusji.

Przebieg posiedzenia w Instytucie Pedagogiki odsłonił przed zaproszonymi gośćmi cały ogrom i całą odpowiedzialność pracy, jakiej wymaga układanie instrukcji nauczania. Projekt nowej Instrukcji Programowej Nauczania Języka Polskiego liczy zaledwie kil-



Rys. A. Perzyk

kanaście stron maszynopisu. Ale ileż niezwykle ważnej treści zamyka się na tych kilkunastu stroniczkach. W myśl wskazań Instrukcji Programowej będzie się odbywać nauczanie języka polskiego i historii literatury polskiej we wszystkich szkołach naszego kraju. Instrukcja Programowa zawiera w sobie cały obraz literatury polskiej, który ulegnie utrwaleniu w umysłach milionów dzieci. Z jakimż poczuciem odpowiedzialności muszą autorzy Instrukcji ważyć każde jej słowo. I jak trudno jest układać taką instrukcję w obecnym okresie kształtujących się dopiero pojęć nowej epoki.

Literaci dobrze przysłużyli się młodzieży wszczynając dyskusję na temat podręczników szkolnych. Komisja Programowa Języka Polskiego przy Instytucie Pedagogiki, doceniając tę zasługę zaprosiła przedstawicieli ZLP na swe posiedzenie w sprawie Instrukcji Programowej. Niestety, zaproszeni literaci na posiedzenie nie przybyli, zubożając w ten sposób doniosłą dyskusję w jej najważniejszym końcowym stadium. Krótko mówiąc: „Ja swoje powiedziałem — o resztę martwcie się sami”.

...„Posejdon” elcho odbija od nabrzeża. Idzie na wezwanie, które przypłynęło z eteru.

dzy Swinoujściem i Szczecinem mały, mocny stateczek „Posejdon”, co ma już lat przeszło siedemdziesiąt, i niesie pomoc statkom śpieszącym do szczecińskiego portu. Nie ma w pracy kilkunastoosobowej załogi żadnych błyskotliwych wydarzeń, o jakich mógłby opowiedzieć officer Lesisz, gdy pływał na Pacyfiku, lub Grucza, gdy przemierzał wiele razy równik. Jest tylko trzaskająca mroź, są tylko statki z ładunkami dla polskich, czechosłowackich czy węgierskich miast, są nagłe radiogramy...

Niekiedy zdarza się jednak dziwna rozmowa, która ludziom z „Posejdona” ukazuje wielkość ich pracy.

Oto przy gardzieli Kanału Piastowskiego utknął w dryfujących łodach zachodnio-niemiecki statek „Maria-Yeorck”. Kra uszkodziła mu śrubę, a napór lodów spychał beśsilny statek na kamienisty brzeg. „Posejdonowcy” doszli przez lodowe pole niemal w ostatniej godzinie.

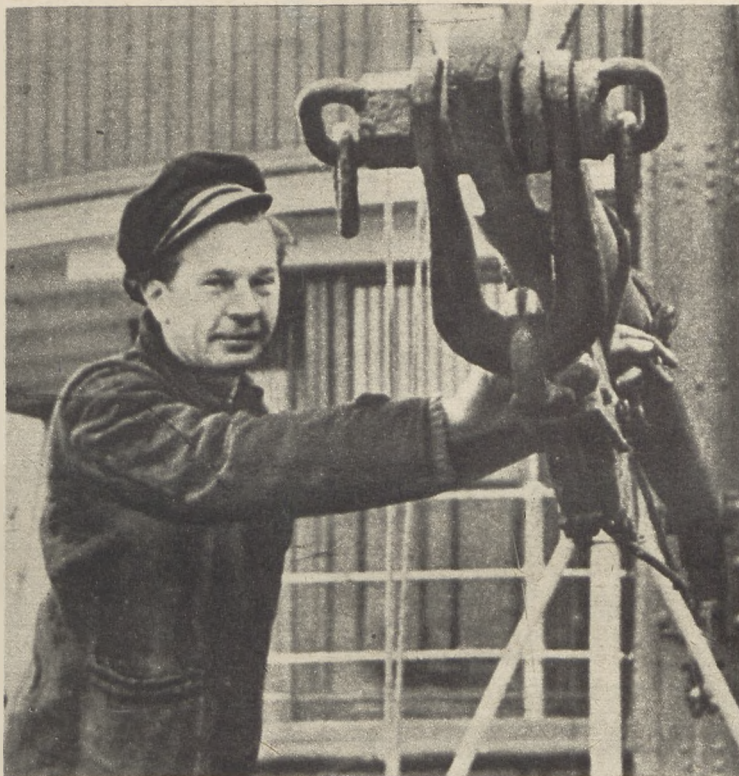
— Halo, „Maria-Yeorck”, rzucamy hol! — zawołano z „Posejdona”.

Kapitan statku przystawił tubę i odkrzyknął:

— Zaczekajcie! Ile to będzie kosztowało?...

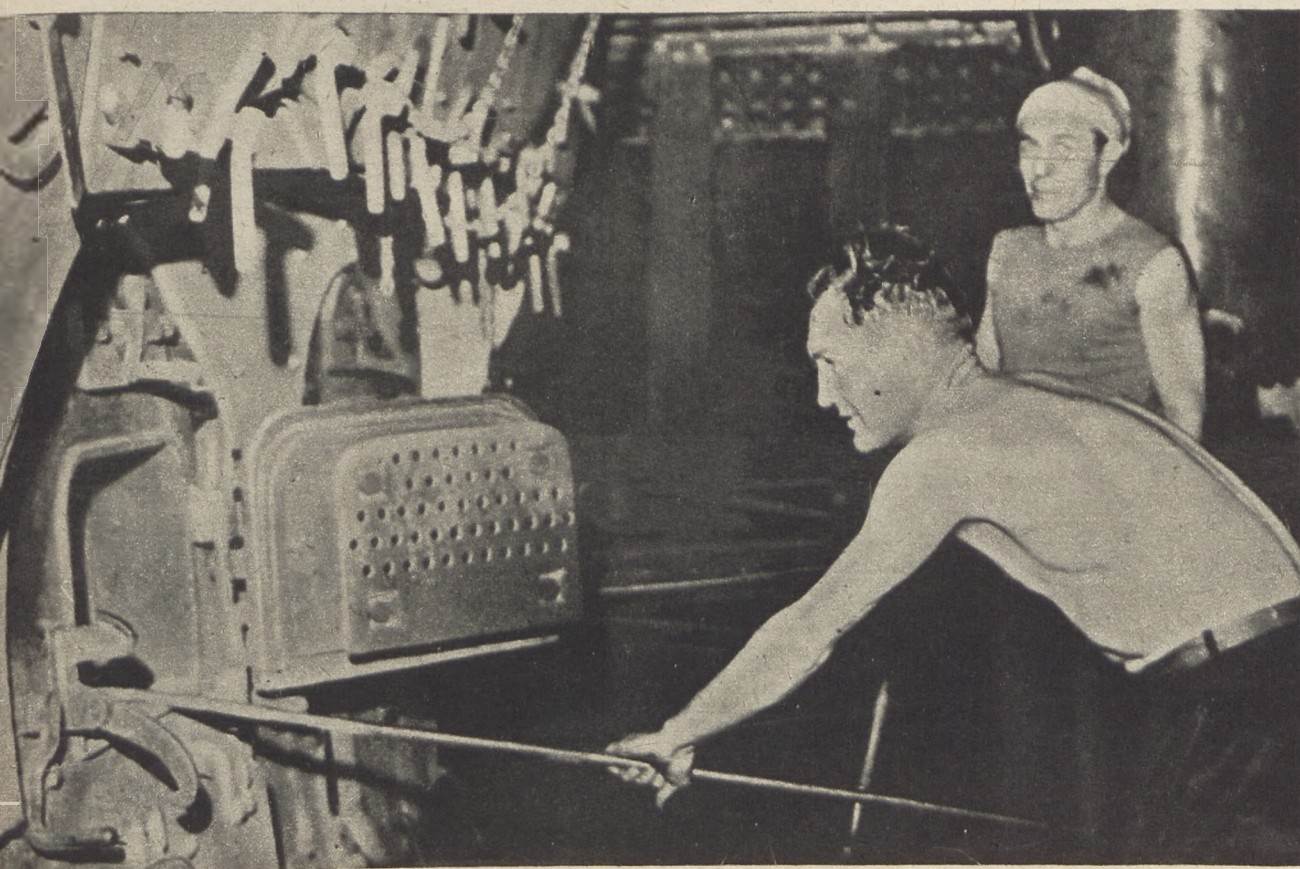
Trzeci nawigator z naszego lodolamacza cisnął rzutkę wraz z odpowiedzią:

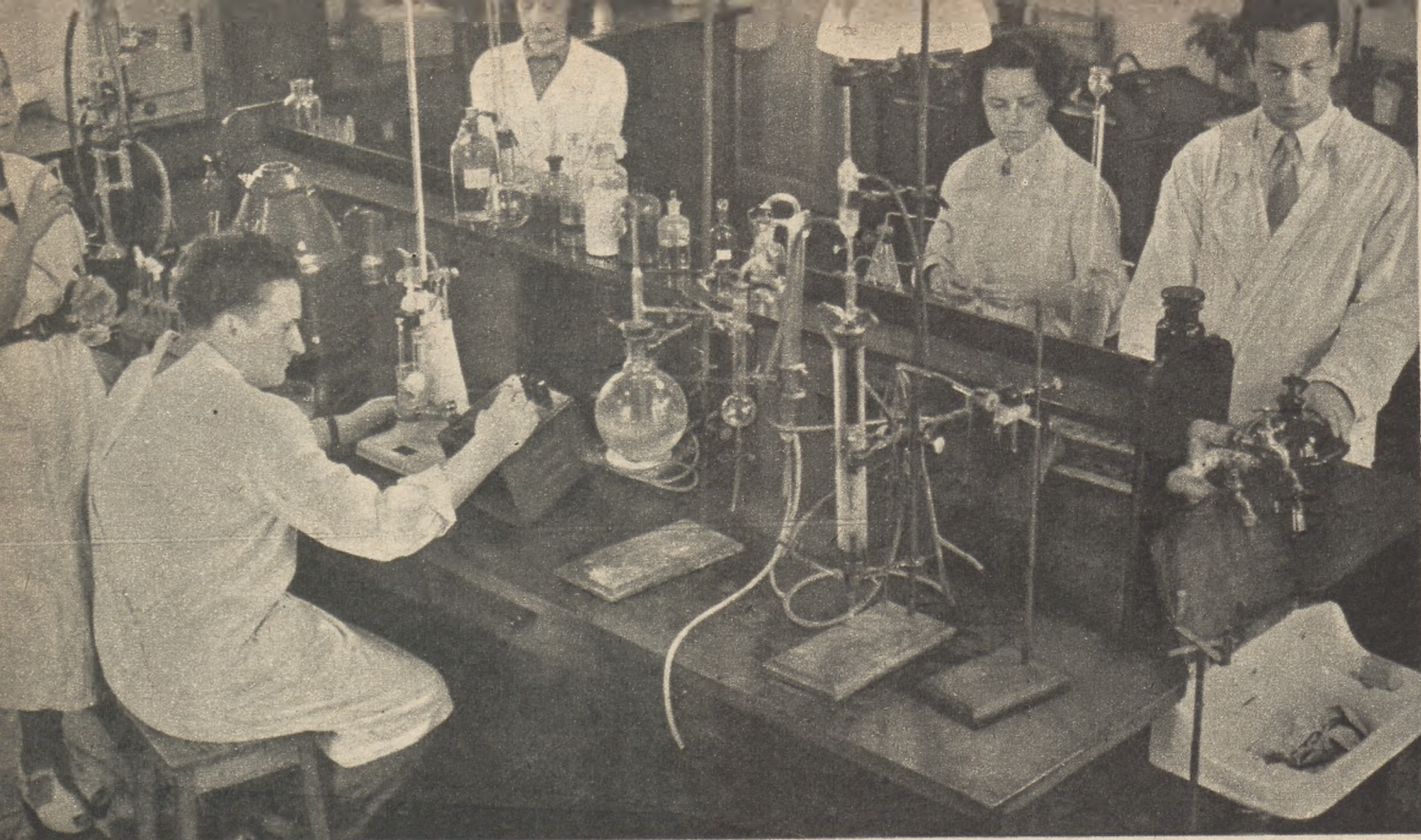
— My ludzi ratujemy za darmo...! Hast du verstanden?



Marynarz Edmund Matuszczak przy windzie „Posejdona”.

...„Hannskou” uratowana... W kotłowni pałac Zóralski z pomocnikiem Zasada sypią węgiel — wracamy.





W JEDNEJ Z PRACOWNI ZAKŁADU CHEMII FIZJOLOGICZNEJ AKADEMII MEDYCZNEJ W KRAKOWIE

Dialogi o blochemii (2)

PRAWA ŻYCIA I... BAKTERIE

ADAM HOLLANEK

Fot.: K. JAROCHOWSKI

ZAKŁAD leczniczy w Swoszowicach pod Krakowem wygląda latem jak wyspa wśród zieleni. Przechadzając się po parkowych alejach pacjenci nie myślą zapewne nigdy o roli tej zieleni, która otacza ich ze wszystkich stron. Nie zdają sobie sprawy, że rośliny, to jak gdyby ogromne zielone sieci, łowiące promienie słońca w drobniutkie oczka substancji, tkwiącej w roślinach i nadającej im ich zieloną barwę. Substancja zwie się chlorofilem, a każdy promień słońca złowiony przez roślinę jest motorem procesów, dzięki którym roślina ze schwytanego z powietrza dwutlenku węgla i wysuszonych z ziemi związków azotowych buduje swoje ciało, oddycha, odżywia się. Budowane przez zielone rośliny cukry, białka i tłuszcze stanowią magazyn żywnościowy dla całego świata żywego na naszej planecie.

Warto również uświadomić sobie, że gdy za chwilę wejdziemy do kąpieli siarkowej — pluskać się będziemy wśród mikroskopijnych roślinek niezielonych. Po prostu kąpiemy się wśród niewielkich gołym okiem organizmów bakteryjnych, których głównym pożywieniem jest... siarka.

Nic dziwnego, że bakterie te zostały przeniesione w szklanych domkach probówek do laboratorium biochemika i stały się przedmiotem badań nowoczesnego zakładu naukowego, jakim jest Zakład Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Krakowie, kierowany przez prof. Bolesława Skarżyńskiego. Dlaczego jednak od bakterii zaczynamy zapowiedziane zapoznanie się z pracami biochemików?

— Widziałem, z jaką odrazą spoglądał pan na probówkę z kulturami bakteryjnymi. Zupełnie jak gdyby była to klatka, w której zamknięto co najmniej tygrysy — powiedział na wstępie asystent Zakładu, mgr. Szczepkowski.

— Istotnie — mruknąłem z nieco speszoną miną. — Ale czyż nie miałem prawa tego zrobić? Bakterie, to istotnie najstraszliwsi wrogowie ludzkości.

— Nie tylko. Żyjemy z nimi w bliskich, przyjaznych stosunkach, hodując je w przewodzie pokarmowym, gdzie produkują dla nas szereg witamin. U niektórych zwierząt bakterie pełnią podstawową rolę w trawieniu. Krowa, na przykład, może odżywiać się słomą dlatego, że hoduje w swym przewodzie trawiennym specjalne bakterie. Rozkładają one słomę na części przyswajalne dla organizmu. Bakterie zużytkowane są w przemyśle przy przeróbce tytoniu,

wytwarzaniu kwasu mlekowego, witamin. W glebie żyje olbrzymia ilość bakterii. Rozkładając umarłe organizmy przygotowują one niejako pożywienie dla roślin. A roślinami żywią się ludzie i zwierzęta.

— A więc tak zamyka się koło życia. Bez bakterii nasze istnienie byłoby niemożliwe?

— Niemożliwe. Ale proszę nie myśleć, że tylko ta rola, jaką grają bakterie, skłania nas do ich badania. Biochemia potrafiła wykryć podstawowe dla wszystkich organizmów żywych schematy przemian chemicznych, obowiązujące tak samo powszechnie jak prawo ciężenia. Są to prawa życia.

— Innymi słowami: biochemicy podpatrzyli proces produkcyjny w ogromnym zespole fabryk chemicznych, które składają się na całość organizmu zwierzęcia czy człowieka. Wyśledzili, w jaki sposób ze spożywanego przez nas pożywienia żywy ustrój wydobywa energię i buduje tkanki swego ciała.

— Tak jest. Organizmy zwierząt i ludzi, to zespół, zestrojony w jedną całość zespół fabryk chemicznych. Jasne, że całego zespołu nie można zbadać od razu. Łatwiej zacząć dociekania od poszczególnych fabryk. Te fabryki, to komórki. Te same prawa rządzą życiem jednej komórki, jak i komórek całego ustroju. A ponieważ bakterie są przeważnie istotami jednokomórkowymi, za jeliśmy się właśnie nimi. Prace nasze są więc drobnym wycinkiem badań nad prawami życia.

— I do jakiego wyniku doszliście?

— Wybraliśmy jako obiekty doświadczania organizmy bardzo dziwne, odżywające się gazem — siarkowodorem, który dla człowieka jest silnie trujący. Te przedziwne organizmy bakteryjne, żyjące „kosztem“ związków nieorganicznych, wyhodowaliśmy z wód kąpielowych w Swoszowicach.

Dawniej sądzono, że ten rodzaj bakterii, zwany bakteriami samożywymi — to pozostałość po odległych epokach, w których rodziło się życie na ziemi. Uważano, że przetrwały do naszych czasów jak gdyby żywe skamieliny, demonstrujące z pokolenia na pokolenie ten sam sposób życia, jaki — sądzono — mieli wszyscy nasi praprapradkowie (tych „pra“ trzeba by tu napisać miliony).

W rzeczywistości sytuacja przedstawia się zgoła inaczej. Radziecki uczonec, prof. Oparin, w swej teorii pochodzenia życia na ziemi, twierdzi, że przed uformowaniem się organizmów żywych powstały

substancje organiczne oraz że pierwotne żywe istoty wyhodowały się na substancjach organicznych, rozpuszczonych w ciepłych oceanach, a nie na substancjach nieorganicznych — takich, jak na przykład siarkowodór. Wiele faktów przemawia za słusznością teorii Oparina. Drobnym fragmentem prac nad tymi zagadnieniami stały się właśnie badania Zakładu. Okazało się, że karmiące się siarkowodorem bakterie posiadają we wnętrzu swych komórek skomplikowany zespół czynników chemicznych. Fakt ten obala wspomniane teorie, jakoby bakterie siarkowe były przekazywanymi z pokolenia w pokolenie świadkami powstawania życia na ziemi. Przeciwnie. Musiały przejść skomplikowane szczeble ewolucji, aby pod wpływem otaczających je warunków zmienić swój system odżywiania z pierwotnego, organicznego, na nieorganiczny — dojść do żywienia się siarką. Bakterie siarkowe należą prawdopodobnie do najwyższej zorganizowanych drobnoustrojów spośród znanych dotychczas.

I jeszcze jeden wniosek. Badając te bakterie można stwierdzić, jakie czyn-

niki czy układy są bezwzględnie konieczne dla życia każdej komórki, a które powstały tylko wtórnie. Nie wszystkie prawa życia są nam znane. Znamy dopiero ich cząstkę. Oddzielenie zagadnień dla życia ważnych od drugorzędnych pozwoli...

— Pozwoli nam na zapanowanie nad życiem komórki — dokończyłem i pomyślałem, że to daleka może jeszcze przyszłość, gdy ludzkość na tyle pozna prawa rządzące życiem, iż będzie mogła je wykorzystać do przedłużenia życia i zwalczania wszelkich schorzeń. Przyznam, że byłem nieco rozczarowany: nie dla teraźniejszości — wszystko dla przyszłości. Chciałem już pożegnać mego rozmówcę. Wstałem i zapytałem mimochodem o probówkę z zieloną zawiesiną:

— A to co?

— W tych probówkach hodujemy organizmy jednokomórkowe, przy których pomocy można wykrywać witaminę B12. Te proste organizmy służą nam tu do oznaczania zawartości witaminy B12 w bakteriach siarkowych. Okazało się bowiem, że bakterie te, których miliardy miliardów zapełniają różne źródła w naszym kraju, produkują i zawierają ową cenną witaminę.

— Czy korzystamy w praktyce z tych dziwnych mikroskopijnych organizmów? — zaryzykowałem wreszcie pytanie.

— Ależ tak. Z bakterii siarkowych korzystamy przecież w siarkowodorych kąpielach swoszowickich. Na efekt leczniczy tych wód mogą bowiem wpływać między innymi pewne ilości witamin pochodzące od tych bakterii do wody. Być może także, że wiele leczniczych właściwości pływów mineralnych zawdzięczamy również bakteriom samożywym i produkowanym przez nie witaminom.

To jeszcze nie wszystkie korzyści z bakterii siarkowych. Odgrywają one ważną rolę w gospodarce mineralnej w glebie: przygotowują sole mineralne dla roślin.

— W ten sposób pomagają i nam. Przecież żyjemy się roślinami.

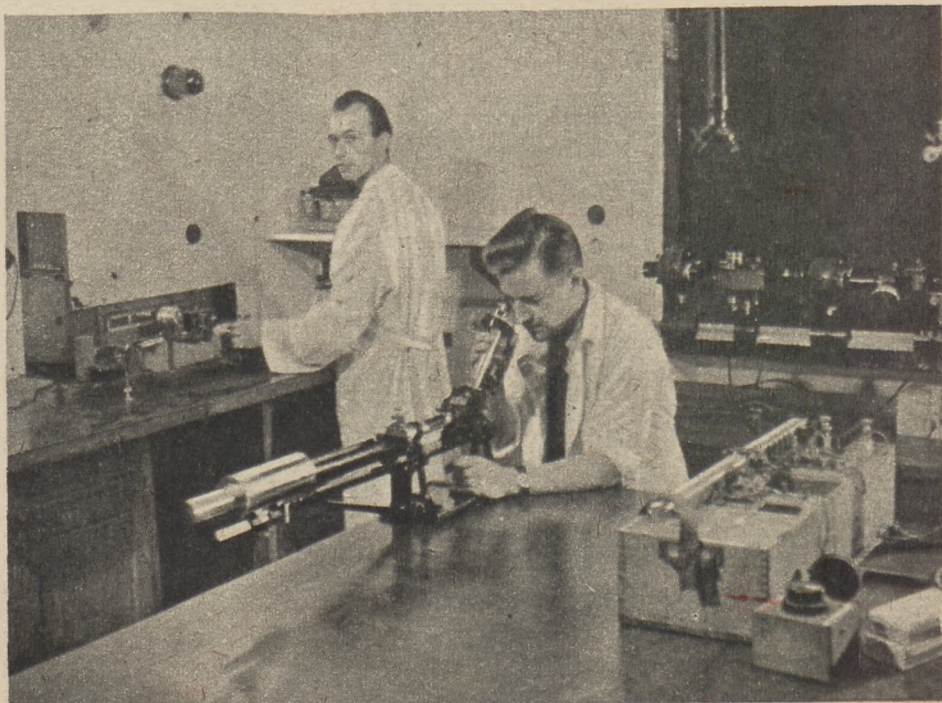
— Tak jest. Nie zawsze jednak bakterie siarkowe sprzyjają człowiekowi: w dziedzinie tak odległej od biochemii, jaką jest inżynieria, spotykamy się dla odmiany z ich szkodliwą działalnością. Wyrządzają często szkody sięgające milionów złotych.

— Jak to?

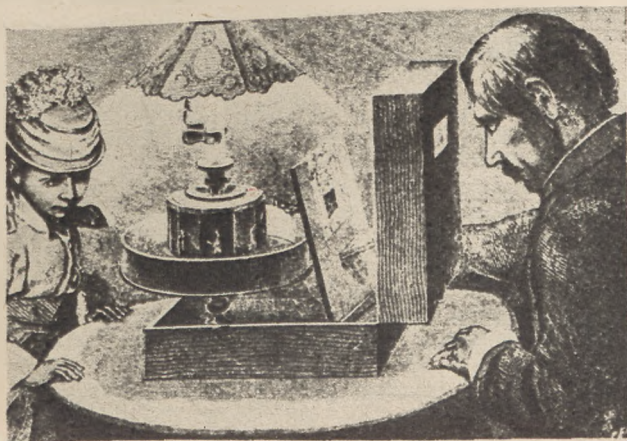
— Niszczą metalowe rurociągi i beton. Poznanie właściwości bakterii siarkowych pozwoli na skuteczną walkę przeciw szkodliwemu działaniu tych drobnoustrojów, a zarazem na najlepsze ich wykorzystanie w tych dziedzinach, gdzie sprzyjają człowiekowi.

Tak więc akordem praktycznym zakończyliśmy nasze rozważania o bakteriach i biochemii. Wychodząc z Zakładu zajrzałem do jednego ze szklanych domków na stole. Okazało się, że jest to cała fabryka elektryczna — fabryka pomagająca w stawianiu diagnozy lekarzom. Obiecałem sobie więc, że powrócę tu jeszcze raz i opiszę Wam i tę fabrykę, i inne skomplikowane aparaty, jakimi dysponuje dziś biochemik.

DOKOŃCZENIE NASTĄPI



Pracownicy Zakładu mają do dyspozycji najnowocześniejszą aparaturę badawczą



Idea filmu pasjonuje wynalazców na całym świecie. Powstaje taśma filmowa, a dzięki zastosowaniu perforacji tworzy się normalną taśmę o szerokości 35 mm. Emil Reynaud, Francuz, udoskonala aparat swego rodaka Plateau, konstruując zabawkę, tzw. „Praksinoskop”

JAK POWSTAŁO KINO

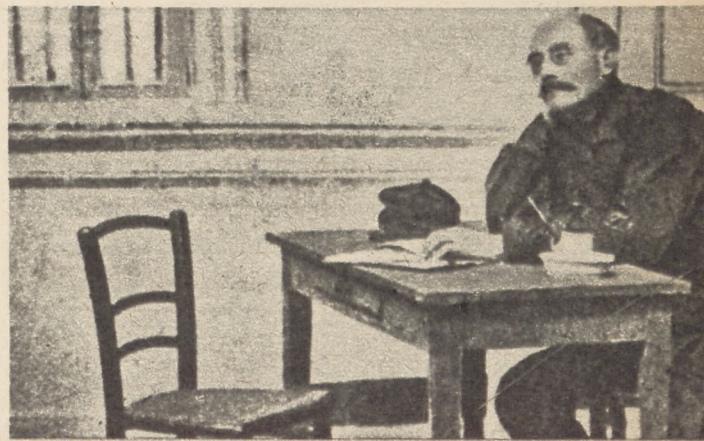
Dokumenty historyczne opowiadają dzieje sztuki, której nie było przed 50 laty...

Było to w roku 1832. Na uniwersytecie w Liege, w Belgii, wykłady fizyki prowadził prof. Józef Plateau, Francuz z pochodzenia. Plateau skonstruował nadzwyczaj prosty aparat. Było to koło z tektury, w którym powycinane były otwory; do tych otworów pan profesor powkładał rysunki, przedstawiające tę samą postać, z tym, że różniły się one między sobą nieznacznie rozstawieniem nóg, pochyleniem głowy, tułowia itp. Puszczając to magiczne koło przed lampą do przeźroczy, Plateau uzyskał w ten sposób wrażenie ruchu. Wynalazek polegał na tym, iż Plateau „rozłożył” ruch na szereg stanów nieruchomych, minimalnie różniących się między sobą. „Składając” te stadia otrzymywał z powrotem ruch.

W tym samym mniej więcej czasie mało znany malarz francuski Mande Daguerre rozwinął i udoskonalił wynalazek innego Francuza, Nicephore Niepce, oficera wojsk rewolucyjnych z czasów Wielkiej Rewolucji. W roku 1820 udało mu się po raz pierwszy w historii utrwalić na metalowej płycie zdjęcie suto zastawionego stołu. Przez czternaście długich godzin Niepce eksponował swój stół ze smacowym jadłem, zanim mógł oświadczyć światu, że pierwsza fotografia została wykonana.

Daguerre naświetlał swoje zdjęcia już tylko pół godziny, a wysiłki jego następców szły w kierunku dalszego skrócenia czasu naświetlania, co im się zresztą udało. Wkrótce wystarczyło mu już dwie - trzy minuty i zdjęcie było gotowe.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia wynalazek Niepce - Daguerre'a zastosowano do aparatu Plateau. Na miejsce rysunków wstawiono do otworów, wyciętych przez profesora z Liege - fotografie. Rozpoczyna się pasjonująca historia kinematografu.



Słynna sprawa kpt. Dreyfusa, oszczerco oskarżonego o szpiegostwo, posłużyła Meliesowi jako temat filmu. Na zdjęciu Llezer w roli oskarżonego kapitana Dreyfusa.



Zabawka Reynaud'a cieszą się tysiące Francuzów. W 1893 r. Reynaud organizuje seans filmu rysunkowego. Na zdjęciu afisz tego przedstawienia. Reynaud wykonał 640 takich filmów na 45 m taśmy filmowej.



Pierwsze prawdziwe widowisko filmowe tworzy jednak dopiero Georges Melies, dyrektor teatryku w Paryżu. Stosowane przez niego tricki kinematograficzne są aktualne po dziś dzień. Oto właśnie jeden z nich.



W Montreuil-sous-Bois pod Paryżem zakłada Melies pierwsze atelier filmowe. Tu nakręca swoje słynne filmy fantastyczne, wśród nich widoczny na zdjęciu „Powóz widmo” z cyklu 400 komedii diabelskich.



Cały świat zachwyca się filmami Melies'a. Obok sukcesów artystycznych święci on - rzecz jasna - olbrzymie sukcesy finansowe. W tym czasie powstały pierwsze trusty filmowe: Pathe we Francji, Edison w Stanach Zjednoczonych. Dzięki pomysłowości aktora z małego teatryku na paryskich bulwarach - film staje się jednym z najbardziej zyskownych przemysłów. Z małych, prymitywnych salek - takich, jakie widzimy na powyższym zdjęciu - film wkracza do saloniów i specjalnie budowanych pomieszczeń. Muzykę do filmów piszą wielcy kompozytorzy. Jest to już rok 1900.



Rok 1874 przynosi nowy wynalazek - aparat Tomasza Edisona: jest to skrzynka, w której widzi przez szkło powiększające widzi obrazy utrwalone na taśmie. 25 grudnia 1895 r. bracia Louis i Antoine Lumiere budują swój aparat filmowy rzutujący obrazy na ekran

JÓZEF HEN



Na trasie w Górach Sowich. Raid spełnił swoje zadanie, popularyzując wśród szerokich rzesz naradarzy piękno gór kłodzkich i wałbrzyskich. Impreza odbyła się przy pięknej pogodzie, choć zapowiadał się mróz i śnieżyca

Z 27 punktów wyjściowych wyruszyło nie-
dawną w Sudety 3 000 narciarzy-turystów,
uczestników trzeciego raidu PTTK. Na rynku
wałbrzyskim, to znaczy w końcowym punkcie
raidu, staowało się 538 zespołów, z których 125
ukończyło raid bez punktów karnych, zdobywa-
jąc złote odznaki. Jednym z najlepszych okazał
się zespół Zakładów Remontowych Sprzętu Bu-
dowlanego Huty im. Lenina. Mimo trudnych wa-
runków terenowych narciarze-raiderzy zade-
monstrowali doskonałą postawę, przebywając
dziennie około 15—20 km. Raid spełnił swoje
zadanie: uczestnicy przekonali się, że góry kłodz-
kie i wałbrzyskie posiadają tereny, na których
można uprawiać sport narciarski nie gorzej
niż w Tatrach, Beskidach czy Karkonoszach.

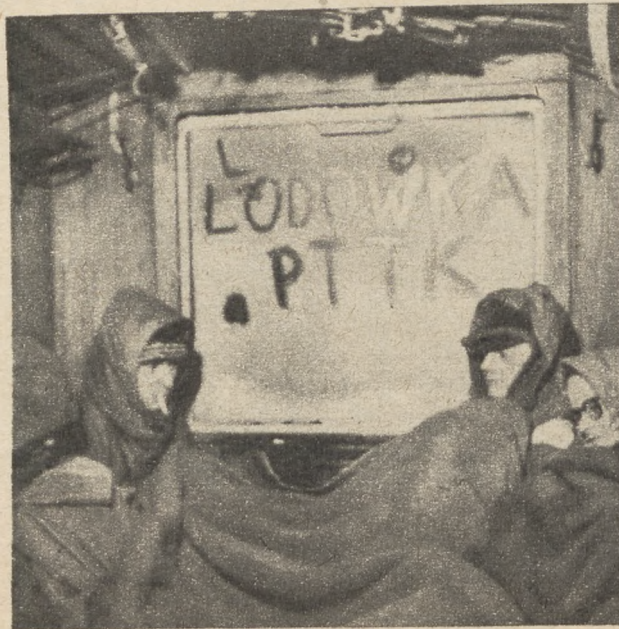
Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

Jedną z najlepszych okazała się drużyna z Huty im. Lenina; otrzymała złotą odznakę i cenne nagrody



Na rynku wałbrzyskim stawilo się 538 zespołów. Raid należał do najbardziej udanych imprez PTTK

Powrót do domu odbył się w gorszych warunkach: PTTK uruchomiło pociągi „specjalne”, ale nie ogrzewane



Notatnik zapalenca

HUCZEK NA KRÓWKI

WSZYSCY kochamy i szanujemy Staszka Marusarza. Miłość to wyjątkowo wierna, trwa już ćwierć wieku i może służyć za przykład wszystkim wątpiącym: oto jak trwale mogą być więzy bezinteresownej sympatii! Już mój ojciec... Ale co mówię! Już mój dziadek — okłaskiwał jego pojedynki z Bronkiem Czechem! A mam niepłonną nadzieję, że i mój wnuk, który odziedziczy po mnie rubrykę „zapaleńca“, będzie miał sposobność pisać na tych łamach, że „Stanisław Marusarz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa“.

Ale nie ma miłości bez goryczy. W takich właśnie ciępkich chwilach szatan opanowuje duszę kochającego i zaczyna mu wszeptywać w ucho: „Kochamy go, to prawda, ale czy nie smuci nas to, że ten fantastyczny Dziadek, ten mocarz skoczni, który nie może już przecież odnosić dla nas tych sukcesów, co dawniej, że ten — (tu chytry szatan rzuca jeszcze kilkadziesiąt pochwał pod adresem Staszka) — wciąż jeszcze nie znalazł, nie powiem „pogromcy” — ale choćby równego sobie partnera?” (Kwadrans szatańskiego śmiechu).

Szatan ma rację. Potwierdziły ją ostatnie zawody na Krokwi, a wcześniej jeszcze konkurs na Leninowskich Wzgórzach. Staszek Maruszak skacze wciąż jeszcze najdynamiczniej, najpewniej, najdalej i najejektowniej. Co wobec zrozumiałego faktu, iż nie jest on już dziś tym arcymistrzem w skali międzynarodowej, którym był dawniej, świadczy nienajlepiej o możliwościach naszych skoczków.

Był czas, że liczone na Jana Kulę. Kula rzeczywiście zapowiadał się wspaniale. Jego skoki są piękne stylowo. Ale — może z powodu dość skromnych warunków fizycznych — nie osiąga on odległości, które mogłoby zapewniać sukcesy za granicą.

Ostatnie sezony wyłoniły całą grupę młodych, obiecujących skoczków. Nie dysponują jeszcze oni skończoną techniką (i może lepiej), ale mają właśnie maruszarzową brawurę, pęd i dynamikę. Niektórzy z nich, jak Wieczorek czy Węgrzynkiewicz są już nieźle oszlifowani. Inni, jak Kowalski, Furman czy Polok, są na najlepszej drodze. Dodajmy do nich A. Krzeptowskiego, Forteckiego i Łatkowskiego. A zapowiadany w tytule „huczek”? To właśnie Huczek, młody skoczek z LZS!

Huczek był największą sensacją I konkursu skoków na dużej Krokwi. On i Furman w skokach z rozbiegu skróconego osiągnęli po 68,5 metra, podczas gdy Marusarz uzyskał o 1,5 metra mniej! Wysoka nota za dwa skoki (212 pkt. — Marusarz 215,5), drugie miejsce w najsilniejszej polskiej konkurencji stanowią zapowiedź rewelacyjną. Więc może tym „wielkim” będzie Huczek?

Ktokolwiek by miał być — niech nie myśli, że zwycięstwa przyjdą same. Ktokolwiek by miał być kontynuatorem tradycji Czecha i Marusarza — niech pamięta, że Staszek Marusarz trenował bardzo pilnie, trenował jak maniak, że poza skocznia nie było dlań szczęścia — i to jest kardynalny warunek sukcesów. A najbardziej by się chciało, żeby tym razem przyszły as naszycy skocznicy nie był osamotniony, żeby ich było kilku na raz.

Skoczkie nasi nie pojechali na mistrzostwa świata do Szwecji. Może i słusznie, nie wiem. Może i rzeczywiście nie ma sensu wyjeżdżać na mistrzostwa świata tylko w tym celu, żeby zapelniać trzeci i czwarty dziesiątek klasyfikacyjnej tabeli. Ilu skoczków zresztą mogłoby wyjechać? I jeśli jada tylko po naukę, a nie po sukces, to dlaczego ten, a nie ten? Niemniej jest rzeczą pewną, że naszym narciarzom potrzebne są starty w dobrej konkurencji zagranicznej. I to poirzebne są nie kilku wybrańcom, ale kilkudziesięciu najlepszym. Podaje więc skromny projekt pod głosowanie: czy nie można by zorganizować u nas jakichś wielkich międzynarodowych konkursów narciarskich? Ufundujcie jakiś Puchar Zakopanego, Karpacza, Wisły, zorganizujcie atrakcyjne zawody, zaprosicie skoczków norweskich, szwedzkich, fińskich, a przede wszystkim naszych radzieckich przyjaciół, którzy dziś stanowią już poważną klasę! Na własnych śmieciach, na znajomej skoczni, zawodnicy nasi będą się czuli o wiele pewniej. Pokaże się wówczas, jaką rzeczywiście rolę odgrywa nieznajoma skocznia, a jaką różnica klasy.

Oto do czego sprowadza się moje wołanie: potrzeba nam poważnych międzynarodowych zawodów narciarskich u siebie w kraju. I niech się młodzież uczy!

OSIEM DNI I NOCY W GROcie ZIMNEJ



W drodze do Groty Zimnej

W dniu 31 stycznia rb. dzieciętności świątków Sekcji Tatarników Jaskiniowych PTTK, popularnych już dziś „grotolazów”, rozpoczęło szturm na Grocie Zimnej, w urwistych ścianach Doliny Kościeliskiej.

Nie jest to pierwsza próba poznania owianych legendą jaskiń i podziemnych korytarzy w Tatrach.

Ostatnia wyprawa do Groty Zimnej, największa z dotychczasowych, została zorganizowana przez PTTK. Wielomiesięczne przygotowania i doskonałe wyposażenie uczestników wyprawy w nowoczesny sprzęt dało wspaniałe rezultaty. W ciągu ośmiu dni spędzonych w labiryncie Groty Zimnej, uczestnicy wyprawy przebyli 2.600 m w głąb, docierając do nietkniętych jeszcze stopą ludzką podziemnych korytarzy i chodników. Istnieje przypuszczenie, że grotą tą ma jeszcze drugie wejście, którego na razie nie udało się odnaleźć.

Odkrycia w Grocie Zimnej, największej z dotychczas zbitych grot tatrzańskich, poza obfitym materiałem naukowym przyniosły uczestnikom wyprawy bogate doświadczenia.

St. Lipka
Fot. M. Grosz



Dopiero za 8 dni „grotolazy” ujrzą światło dzienne

A JESZCZE PRZED KILKUNASTU LATY...

Ten wspaniały malec ważył po urodzeniu 6,1 kg. Na świat przyszedł w szpitalu w Kraśniku (województwo lubelskie). Jego matkę, Władysławę Trentowicz, średniorolną chłopkę z gromady Natolin, otoczono troskliwą opieką lekarską: w dobrych

warunkach sanitarnych i higienicznych szybko odzyskała siły.

Fakt, że odbyła ona poród w nowoczesnym urządzeniu szpitalu, wydaje się nam dzisiaj rzeczą naturalną i normalną. A przed kilkunastu laty...

Przed kilkunastu laty, ściśle mówiąc jeszcze tuż przed ostatnią wojną, w powiecie kraśnickim nie było ani jednego szpitala. Pierwszy szpital — początkowo co prawda w prymitywnych warunkach — zorganizowano tu dopiero w roku 1944. Dziś posiada on nowoczesne urządzenia i dobrze przeszkolony personel. Nie zaspokajał on jednak wszystkich potrzeb ludności powiatu. Niedawno zorganizowano więc w Kraśniku drugi szpital na 140 łóżek na t.zw. Osiedlu Fabrycznym. Tam właśnie przyszedł na świat ten okazały noworodek.

Nowy szpital wyposażony w nowoczesne urządzenia i pomoce, umieszczony w wygodnych i nowowbudowanych blokach — zapewnia chorem należytą opiekę i bardzo dobre warunki.

M. Turski, Lublin

CZEKAMY NA WIĘCEJ EXLIBRISÓW

Ekspozycja Wojewódzka „Domu Książki” w Bydgoszczy rozesłała ostatnio do terenowych księgarni estetyczne exlibrisy, które w okresie noworocznym dodawano do książek.

Był to pomysł bardzo dobry, który wszystkim miłośnikom książek sprawił miłą niespodziankę. Cóż z tego, kiedy już po kilku dniach exlibrisów zabrakło, a kupujący książki nadaremnie się o nie dopytują do dnia dzisiejszego.

Miłośnicy książek proszę o stałe zaopatrywanie księgarni w exlibrisy.

Janusz Księski, Znin



NIE ZAPOMINAJCIE O DZIEWCZĘTACH

kolegę Józefa Holekę o 65 sekund.

Konkurs otwarty skoków wygrał olimpijczyk Antoni Wieczorek (LZS-Szczyrk). Wszystkie jednak wskazuje na to, że już wkrótce będzie on miał groźnego rywala w uczniu swym — Józefie Huczkę, który wygrał zdecydowanie konkurs skoków juniorów grupy „C”. W parę dni później, na Mistrzostwach Wojska Polskiego w Zakopanem, Huczek odniósł wielki sukces w konkursie skoków otwartych, uzyskując doskonałą notę, tylko o 3,5 punkta niższą od Stanisława Marusarza.

Slalom-gigant dla chłopców do lat 14 wygrał 13-letni Ludwik Husar z LZS-Czantoria Polana, w czasie 37,4 sek. Ten młody zawodnik jeździ

na nartach od piątego roku życia, a blisko od dwóch lat uprawia sport narciarski wyczynowo i robi duże postępy. Gorzej wypadły konkurencje kobiece. Stosunkowo niewielka liczba zawodniczek oraz ich słabe przygotowanie wskazują, że część działaczy LZS ograniczyła się do pracy z chłopcami, zapominając o dziewczętach.

W okresie Mistrzostw, dla przeszło 100 dzieci z pobliskich „szkółek narciarskich” LZS, zorganizowano w Wiśle bieg płaski na dystansie 1500 m. W kategorii dziewcząt pierwsze miejsce zajęła Marysia Szturcówna z Wisły, a wśród chłopców najlepszym był Józef Jąłowicz z Jaworzynki.

Tomasz Czaubański, Warszawa
Fot. Longin Prymaka



Anna Cieślak zajęła 1. miejsce w biegu na 15 km

LOKATORSKA POMOC SĄSIEDZKA

Przy ul. Moniuszki w Wąbrzychu mieszkał Stanisław Fornalik, zajmując z rodziną tylko jeden pokój z kuchnią. Obok jego mieszkania znajdował się zrujnowany lokal sklepowy, dla celów handlowych tej dzielnicy nieopracowany, który można było za zgodą władz zamienić po remoncie na mieszkanie. Kto miał tę sprawę załatwić? Przewodniczący komitetu blokowego, Leon Dopierański, wysunął wniosek, aby ów zdemolowany sklep wyremontowali dla Fornalika sami lokatorzy.

Poczyniono odpowiednie starania u władz miejskich i wkrótce po godzinach pracy widziano amatorów murarzy, elektryków i cieśli, zatrudnionych remontem. Murarka zajmował się Henryk Michalski, wapno mieszała pracowniczka Centrogaliu, Danuta Pawłowska, transport zorganizował Kazimierz Roczkiewicz.

W kilka tygodni później brzydkiego dawniej lokalu nie można było poznać. Szybko wystawową zamurowano i na jej miejsce dano dwa okna, ścianę oddzielającą sklep od mieszkania ob. Fornalika częściowo wyburzono, wstawiając w nią duże drzwi szklane. Wartość wykonanej przez członków komitetu blokowego pracy wynosi ponad cztery tysiące złotych.

Dzisiaj rodzina Fornalika zajmuje dwa duże pokoje oraz kuchnię.

— Nigdy nie spodziewałem się — powiedział Stanisław Fornalik — że z tego ponurego lokalu sklepowego będzie tak miłe mieszkanie!

Komitet blokowy rejonu 9 pokazał, że — o ile pozwalają na to okoliczności — we własnym zakresie można również poprawić warunki mieszkalne lokatorów.

Zb. Fin, Wąbrzych



Henryk Michalski, to dzielny murarz. Po prawej stronie stoi przewodniczący komitetu blokowego, Leon Dopierański, a po lewej — gospodarz rejonu 9, Adam Póćniak

I WĘGIEL MOŻNA „WZBOGACIĆ”...

Gliwice. Politechnika. Na korytarzu przed Katedrą Przeróbki Mechanicznej Węgla stoją grupki studentów. Nastrój typowy w takich chwilach: podniecenie i zdenerwowanie. Dyskusje na temat prac dyplomowych, sposobów rozwiązania problemów technicznych, opowiadania o kopalniach i odbytych praktykach. Opuszczający salę egzaminacyjną zasypany są pytaniami: o co pytają, czy „ścinają” itp.

O kim tu mowa? A właśnie. Gdy kupujecie węgiel — kęsy, kostkę, orzech, groszek czy grysk — otrzymujecie go w stanie czystym bez domieszek kamienia, z którym wydobywany jest w kopalni. Ale czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad tym, jak to się dzieje, że zakupiony przez was węgiel oczyszczony jest z wszelkich domieszek i starannie posegregowany według wielkości?

Selekcja węgla według wielkości, brykietowanie i

oczyszczanie odbywa się przy zastosowaniu mechanicznej przeróbki, która podnosi jego wartość kaloryczną, jak to się mówi — „wzbogaca” węgiel.

Do niedawna żadna z naszych wyższych uczelni technicznych nie kształciła specjalistów w tej dziedzinie, a rolę ich spełniali inżynierowie górniczy, posiadający raczej ogólne tylko wiadomości z tej dziedziny. Dopiero w roku ubiegłym przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach, przy Wydziale Górniczym powstał Oddział Przeróbki Mechanicznej Węgla. W styczniu tego roku pierwszy absolwent — Oddziału zdawał egzamin dyplomowy na stopień inżyniera.

Nie ulega wątpliwości, że gdy obejmą pracę w kopalniach, węgiel, kierowany do przemysłu i na użytek ludności, jeszcze bardziej zwiększy swoją wartość.

Janusz Maciejewicz, Gliwice
Fot. A. Mermion



Absolwentka Chimkowska zdała egzamin na czwórkę

NAJSTARSZY MALARZ ŚLĄSKA OPÓLSKIEGO

Paweł Pilarowski, zwany też Ślaziakiem z Janowa, jest najstarszym artystą — malarzem na Śląsku Opolskim i w tym roku obchodził 45-lecie swej pracy.

Począwszy od ławy szkolnej (w Strzelcach Opolskich), poprzez okres plebiscytu i czasy „brunatnych koszuł” — stał nieugięty na gruncie polskości.

Podczas plebiscytu na Śląsku maluje „Radę Ludową w Raciborzu”, „Powstanie Śląskie” i „Napastowanego”. W roku 1932 tworzy obraz pt. „Burdy antysemitki”, który jest wyrazem protestu przeciw rosnącej faszystyzacji kraju.

W latach powojennych powstają w jego pracowni „Palace na okręcie”, „Górnicy”, „Montaż fabryki”, w których artysta oddaje piękno i patos pracy. Obyczajowo-rodzajowe sceny i krajoznazwy Śląska — dopełniają jego twórczość.

Na I Ogólnopolskiej Wystawie Plastycznej w Warszawie (1948 r.) obrazy Pawła Pilarowskiego zostały wyróżnione.

Zbigniew Lenartowicz,
Łódź-Zdrój



Paweł Pilarowski — „Autoportret”

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

CO PISZA INNI

POLSKI APARAT FOTOGRAFICZNY

Miesięcznik „Młody Technik” z grudnia ub. roku zamieszcza artykuł, omawiający projekt nowego aparatu, który będzie produkowany w kraju. Artykuł ten napisali twórcy projektu, inżynierowie J. Jirowiec i T. Lisowski.

W wyniku długich narad ustalono, iż najodpowiedniejszym typem aparatu popularnego a pełnowartościowego będzie lustrzanka dwuobiektywowa, w rodzaju znanego „Rolleiflexa”, „Reflecty” czy „Lubitela”, na 12 zdjęć formatu 6 x 6 cm, na bionę zwójkową.

Aparat będzie wyposażony w obiektyw zdjęciowy — anastygmat błękitny o ogniskowej 75 mm i jasności 1:4, oraz obiektyw rzutowający obraz na matówkę, również błękitny anastygmat o ogniskowej 75 mm, jasności zaś wyższej niż obiektyw zdjęciowy. Dzięki temu obraz oglądany na matówce będzie miał mniejszą głębię ostrości, co pozwoli właśnie na dokładne nastawianie ostrości. Oba obiektywy wbudowane będą w przednią ścianę aparatu, która dla nastawiania ostrości przesuwana się przy obrocie gałką, umieszczoną z boku aparatu.

W obiektyw zdjęciowy wbudowana będzie przesłona irysowa oraz migawka centralna, posiadająca podziałki nastawcze czasów: B — 1/10 — 1/25 — 1/50 — 1/100 — 1/200. Do migawki wmontowane będzie gniazdko kontaktowe dla synchronizacji lamp błyskowych.

Na matówkę pozioma, na którą rzutowany będzie przez górny obiektyw odbity w lusterku obraz, umieszczona będzie lupa powiększająca, ułatwiająca dokładne nastawienie ostrości.

Korpus aparatu wykonany będzie ze stopu aluminium pod ciśnieniem. Zewnętrzne części aparatu oklejone będą дерматиoidem lub czarno lakierowane. W tylnej ścianie umieszczone będzie okienko kontrolne dla przesuwu filmu. Jako dodatkowe wyposażenie przewiduje się futerał skórzany typu „pogotowie”, filtry, wężyk spustowy, ochronę przeciwsłoneczną oraz dwie soczewki nasadkowe do zdjęć z bliska.

OPOWIADANIE

GOMEZA

W fabryce im. Gen. Świerczewskiego w Warszawie pracuje Hiszpan, republikanin, którego obraził dwaj chuligani, wobec czego kierownictwo ZMP zwołuje zebranie, na którym Gomez opowiada swoje dzieje.

W mniemaniu organizatorów zebrania ma pomóc w zwalczaniu nastrojów nacjonalistycznych. Fragment zacierpnięty został z powieści, która ukazała się w tym roku nakładem wydawnictwa „Iskry”.

URODZIŁEM się w roku 1920 w Tharsis na południowo-zachodniej granicy mojej ojczyzny, w rodzinie robotniczej. W roku 1936, kiedy napadli nas faszyci, miałem 16 lat. Dziś — zastanawiał się przez chwilę — dziś mam już 31 lat. W Hiszpanii nie byłam od dziesięciu lat, ale ojczyznę pamięta się zawsze, nawet gdyby się było od niej z daleka nie wiem jak długo. Ojczyznę nie można zapomnieć. Ja pamiętam wszystko: ojca, matkę, siostrę, miasteczko, w którym się urodziłem, przyjaciół i wrogów. Przyjaciół kocham po dziś dzień, a wrogów nienawidzę i nienawidzić będę do końca życia.

Pochodzę z rodziny robotniczej i wszyscy w mojej rodzinie pracowali — dziadek, ojciec, matka, ale mimo że mieszkaliśmy w Hiszpanii — pracowaliśmy u Anglików, u kapitalistów angielskich, którzy mają swoje majątki w naszej ojczyźnie.

W Tharsis i w okolicach są bardzo bogate pokłady minerałów. Jest tam siarka, fosfor, mangan, miedź, ale to wszystko należy do Anglików, nie tak jak w Polsce, gdzie wszystkie bogactwa należą do narodu. U nas w Tharsis było takie towarzystwo angielskie, nazywało się Compania Limitada de Asufre y Cobre, co znaczy — Towarzystwo Akcyjne Siarki i Miedzi.

W tych kopalniach była zatrudniona cała pracująca ludność, i wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci — w kopalniach minerałów pracowali boso, bo jak dziś kupiłeś pantofle i włożyłeś je na nogi, to nazajutrz w kopalni spaliły się na siarce. Pantofle były z płótna i na gumowej podeszwie, bo innych z naszych zarobków nie można było kupić. I dlatego wszyscy woleli pracować boso. Po takiej bosej stopie można było rysować szkłem — skórą pękała, a krew nie szła.

Teraz o zarobkach. Jeśli mężczyzna zarabiał cztery pesety, to kobieta zarabiała połowę tego, nie tak jak w Polsce, gdzie mężczyźni i kobiety mają te same stawki płac. Praca wyglądała w ten sposób, że mężczyźni kopali rudę i łopatą sypali ją do skrzynek, a kobiety brały te skrzynki z rudą i dźwigały je na głowie — Gomez uniósł oba ramiona — aż do miejsca, gdzie stały wagoniki. Tam wysypywały rudę do wagoników, a wagoniki konie odciągały dalej.

Mieszkania robotnicze wybudowała sama Compania. Było to osiedle i zaraz opiszę, jak ono wyglądało. Dla Anglików był w Tharsis specjalny hotel, tylko dla nich i dla ich hiszpańskich wspólników, ale robotnikowi hiszpańskiemu nie wolno było tam wchodzić. Nasze osiedle wyglądało tak: wzdłuż ulicy, szerokiej na jakieś dziesięć metrów, stał długi parterowy barak z kamienia polnego. W takim baraku było dziewięć mieszkań, każde składało się z pokoju i kuchni, a okno było jedno tylko, w pokoju, było ono takie duże — Gomez rozłożył dłonie — 75 centymetrów wysokie i 50 centymetrów szerokie. Tu u nas, w naszym Domu Młodego Robotnika, to nawet w piwnicach, w których leżały kartofle na zimę, okna są większe. Podłoga w takim mieszkaniu była z cementu. Anglicy nam tłumaczyli, że to najlepsze rozwiązanie, bo u nas jest bardzo gorąco, a od tego cementu będzie nam chłodniej. No, ale jak człowiek nie zarobi na buty, w dzień pali mu stopy siarką, a w nocy mrozi je cement, to czy taki człowiek może być zdrow? A małe dzieci, które na takiej cementowej podłodze musiały siedzieć przez cały dzień?

W osiedlu nie było ani wody, ani kanalizacji, ani światła elektrycznego. Po wodę kobiety chodziły pół kilometra albo i dalej, a za tę wodę trzeba było płacić. A było to tak. Compania Limitada odstępuje bogaczowi wiejskiemu, znaczy kułakowi, kawałek gruntu, na którym pokazała się woda. Dzierżawca ogradza ten kawałek gruntu kamieniem polnym i kopie studnię. Jeżeli przychodzisz po wodę, musisz za nią zapłacić. Rozumiecie? A płaci się albo od naczynia, albo miesięcznie.

Jak opłata miesięczna — to taniej wynosi, ale u nas mało jest takich, którzy by mogli od razu z góry opłacić za cały miesiąc. A jak wygląda na przykład pranie bielizny? Za wodę musisz płacić, ale pieniędzy nie ma, więc jak trzeba prać bieliznę, to kobiety biorą balie na głowę, kubel z bielizną w ręce i idą dwa, trzy albo i pięć kilometrów do lasu, do źródła, bo tam woda za darmo. A co miała robić kobieta stara, chora, albo ciężarna? Jak taka kobieta mogła przejść taki kawałek drogi, a potem prać jeszcze bieliznę?

W kopalni też nie ma wody, więc po pracy robotnicy wracają do domu niemyci, a gdyby chcieli się umyć, musieliby znowu płacić tej samej Companii, która na wszystkim zarabia: na sile roboczej robotników, na ich zdrowiu i pracy, nawet na ich brudzie. Więc robotnicy wracają do domu brudni, tam żony czekają z gorącą



wodą. Woda się grzeje, ale grzeje się nie na węglu, bo robotnika hiszpańskiego nie stać na węgiel. My wodę grzejemy na drzewie, a nawet nie na drzewie, tylko na korzeniach krzewów, które się nazywają capas de cherines.

Wody nie ma, węgla nie ma, drzewa nie ma, elektryczności nie ma, więc palimy karbidowe lampki, a, żeby nie wydawać pieniędzy na zakup tych lamp, robimy je sami z puszek po konserwach albo z blachy. Mają one najczęściej kształt koguta, psa, albo kozy.

W Tharsis były same prywatne sklepy, ale robotnicy założyli swój spółdzielczy sklep. Przewodniczącym spółdzielni i kierownikiem sklepu też został robotnik; sprzedawano tam tylko robotnikom: ubrania, buty, bieliznę albo jedzenie. Przy sklepie mieściło się kasyno. W kasynie był bilard, wino, piwo, domino, radio i biblioteka. Niby wszystko dobrze. Ale w tym naszym spółdzielczym sklepie artykuły były o pięć sentimos droższe niż w sklepie prywatnym i dopiero w końcu roku zwracano udziałowcom jakiś procent z osiągniętego zysku. Dlaczego te artykuły były u nas droższe? Po to, aby pokazać nieświadomym robotnikom, że mimo droższej ceny artykułów nieświadomieni robotnicy u nas kupują, bo w końcu po rozliczeniu rocznym zysk

wracał do robotników. Czasami spółdzielnia wypłacała piętnaście procent zysku. Poza tym w tych sklepach — a takich sklepów było dużo w Hiszpanii — tworzono placówki agitacji politycznej. Mnie mówili towarzysze tutaj, że dawniej w Polsce towarzysze Bierut, kiedy nie było jeszcze władzy ludowej, też tworzył spółdzielnie i tam prowadził agitację rewolucyjną. Ale kapitaliści nie siedzą spokojnie. Anglicy i burżuazja hiszpańska nie chcieli, żeby robotnik hiszpański organizował się i uświadamiał, więc przekupstwem i terrorem doprowadzili do tego, że nasz spółdzielczy sklep został zamknięty. Wtedy miał wybuchnąć strajk. W naszym okręgu panował głód, kapitaliści dyktowali stawki za dniówki, a gdy robotnicy chcieli strajkować, to się okazało, że nikt nam pomóc nie może. Nikt. Żaden prywatny kupiec nie pożyczyl kawałka chleba, a naszego sklepu już nie było. Za to Compania otworzyła swój sklep, mianowała swojego kierownika, a ten nie dopuścił już do żadnej roboty uświadamiającej. A ta robota była bardzo potrzebna, bo klasa robotnicza była u nas rozbita. Na przykład taki komunista Antonio Caperro. Był jeszcze młody, przy tym bojowy, mądry, ale przy pracy inni nieświadomieni robotnicy bojkotowali go — bo komunista. A dlaczego tak było? Bo nie wiedzieli, że komuniści to ludzie najofiarniejsi, walczący o ich dobro. Bojkotowali go więc w kasynie, w towarzystwie. Przyjdzie do kasyna, podejdzie tam, gdzie grają w kregle, postawi i wnet się wszyscy rozejdą. Antonio założył u nas związek młodzieży komunistycznej. Pracował i agitował, aż w roku 1934 ludzie zaczęli pytać: co to jest? My wszyscy jednacy, wszyscy jesteśmy robotnikami, wszyscy cierpimy nędzę i głód, a dlaczego bijemy się wzajemnie, jak to jest? Dlaczego się nie połączymy? Jeszcze w roku 1933 było tak, że młodzież socjalistyczna zbierała się oddzielnie, młodzież komunistyczna oddzielnie, ale potem, gdy Caperro zaczął działać, to cała młodzież robotnicza zaczęła się zbierać razem i razem dyskutować. Anglicy patrzyli na to krzywo, a myśmy sobie powiedzieli: jesteśmy w Hiszpanii, niech sobie tamci patrzą krzywo. Nie podoba im się, mogą sobie odejść, my ich nie trzymamy. Kler też patrzył na nas krzywo. Dopóki było rozbiecie, to nasz ksiądz przyglądał się naszej robocie spokojnie, ale jak komuniści i socjaliści połączyli się razem, to zaczął gromić z ambony. Nic mu zresztą nie pomogło. Ja tu w Polsce dużo razy słyszałem taki pogląd o Hiszpanach, że to naród klerykalny, ciemny, zacofany; to nieprawda. U nas chodziła do kościoła tylko Guardia Civil, to znaczy policja i ich rodziny, bo jak rodzina nie poszła do kościoła, to takiego pracownika wyrzucali z Guardia Civil. A z nimi razem szli do kościoła tylko ludzie starej daty, stare kobiety.

Z tą Guardia Civil było tak. Jaki rząd by nie był, kto by nie był przy władzy, socjaliści czy republikanie, katolicy czy radykałowie, to Guardia Civil zawsze zostawała ta sama, zawsze słuchała tego, kto był u władzy i płacił zółd. Tylko raz Guardia Civil postąpiła inaczej i o tym zaraz powiem. Było to wtedy, kiedy w lutym 1936 roku powstał rząd Frente Popular, gdy większość narodu oddała głos na listę frontu ludowego. Odbyły się wybory do parlamentu, były dwie listy — jedna: Action Popular, gdzie się zgromadziły ciemne siły reakcji i druga — Frente Popular, gdzie się zgromadził obóz postępu, i naród głosował na tę listę.

Wtedy to wybuchnął w Tharsis pierwszy zwycięski strajk — do tej pory wszystkie strajki były przegrane. Trzy dni trwał strajk przeciwko angielskiej Companii Limitada. Robotnicy żądali, żeby Compania dała ze swojej elektrowni prąd do baraków robotniczych i wodę ze swego zbiornika, który miał kilka milionów hektolitrow. Tej wody było tyle, że starczyło jeszcze i dla majątków i dla plantacji kwiatów Companii, bo musimy wiedzieć, że Compania oprócz kopalni miała jeszcze swoje majątki ziemskie. Ludzie zażądali 50 sentimos więcej za dniówkę, zażądali także, by dyrektor Companii zjechał na dół, do kopalni. Niech sam zobaczy, w jakich warunkach ludzie pracują! Tak było pierwszego dnia strajku. Obie zmiany siedziały na dole, a w warsztatach zostali ci, którzy pracowali na powierzchni — razem jakieś tysiąc ludzi. Cała Compania stoi, trzecia nocna zmiana też przyszła i do domu nie idzie. Stolarze, murarze, ślusarze, cieśle — nie robią. Pierwszego dnia kobiety przyniosły coś do jedzenia, drugiego dnia już nic, bo nie mają co, a trzeciego dnia — czarna chorągiew na kopalni, strajk głodowy!

Zapomniałem wam powiedzieć, że Tharsis leży jakieś 45 kilometrów od wybrzeża morskiego. Tam w niewielkim porcie Muelle de Corrales stały statki. Statki te miały zabierać minerały przywiezione koleją z kopalni. Bo tak to było, że kopalnie należały do Companii, statki należały do Companii, linie kolejowe należały do Companii — tylko nędza i głód należały do nas, do robotników. Kiedy załogi statków w Muelle de Corrales dowiedziały się, że w kopalni strajk, to te załogi też zastrajkowały i nie chciały wyładować węgla przywiezionego dla Companii z Anglii. Tak więc strajk trwa tam i tu. Trzeba wyładować węgiel i załadować minerały. W Corrales czeka węgiel, w Tharsis stoją pociągi z minerałami. Maszyniści stoją przy kotłach parowozów, palą w paleniskach, ale nie jadą, tylko parę puszczają, że to niby gotowi do odjazdu, ale naprawdę to czekają, aż kapitaliści ustąpią. Ustąpićcie górnikom — pojedziemy! Dobra jest! Wtedy Compania zażądała, żeby przysłano do Tharsis maszynistów z Corrales. Przyjechali. To nie byli właściwie kolejarzy, tylko wojsko, ale tacy, którzy potrafili obsługiwać parowozy. Wyrzucili maszynistów z lokomotyw. Zobaczyły to kobiety. Od razu jedna z nich pobiegła do lokalu związku zawodowego, ale w lokalu ani żywej duszy, bo mężczyźni strajkują i wszyscy są na terenie kopalni, no? I wtedy ta kobieta zebrała wszystkie inne i razem z dziećmi poszły na tor. Siadły na torze, a w kotłach para się dusi. Ci wojskowi węgiel syją, że to niby gotowi są do odjazdu, a kobie-

ty i dzieci siedzą na torze. Powoli zjawia się również Guardia Civil. Kiedy pierwsza lokomotywa ruszyła powoli, bardzo powoli, kobiety nie ruszyły się z toru. To było trzeciego dnia strajku. Wtedy Compañía zadzwoniła do związków zawodowych w Huelva — mieście położonym niedaleko Tharsis — i zaprosiła komisję związkową. Compañía posyła po tę komisję samochód, swój samochód! Rozumiecie? A jeżeli komisja zgadza się jechać samochodem Compañii, to rozumiecie także, jakie było w tych związkach kierownictwo. To kierownictwo przyjechało, zdradziło nas, sprzedało, strąk się skończył. Coś tam jednak zyskali robotnicy. Niewiele. Ale Compañía widziała już, że tak łatwo teraz z robotnikami nie można.

Wtedy to nasza Compañía i wszystkie inne kompanie w Hiszpanii, i cała burżuazja, i kler, i obszarnicy, widząc, że będą musieli ustępować robotnikom i chłopom, wezwali do pomocy Hitlera i Mussoliniego, aby zdławić republikę i znieść te prawa, jakie republika nadała ludowi. Republika była najsilniejsza w Madrycie, Bilbao, Barcelonie, w Katalonii, Oviedo, tam, gdzie mieszkają górnicy. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Passionarii. Miałem 16 lat. Mieszkaliśmy z rodziną w Huelva i pracowałem jako pomocnik w spółdzielczym składzie aptecznym. Z tej pracy utrzymywałem rodzinę: matkę i 14-letnią siostrę. Dnia 18 lipca rano otworzyłem — jak zwykle — radio. Audycja wydała mi się dziwna. Ktoś przemawiał głosem urywanym, dławionym się od wściekłości, szczekającym. Spojrzałem na kierownika składu, w tej chwili bowiem mówca ogłaszał mobilizację. Wzywał wszystkich mężczyzn pod broń. Kierownik składu przekreślił gałkę na Madryt. Tam też mówiono o mobilizacji, ale wezwanie było skierowane do robotników i do partii politycznych, na-



leżących do Frente Popular. Znów łapaliśmy Seville. Szczekanie trwało jeszcze czas jakiś i urwało się. Speaker ogłosił, że przed chwilą przemawiał faszystowski generał Queipo de Llano.

To było w lipcu. Ale wcześniej, już na początku czerwca, Guardia Civil wydała rozkaz, żeby do jej koszar odnieść wszelką broń palną. Musicie wiedzieć, że Hiszpanie bardzo lubią polować, lecz mimo to broń została oddana, nawet dwururki i fuzje. Kiedy Madryt ogłosił mobilizację, robotnicy i członkowie partii lewicowych pobiegli do koszar Guardia Civil domagając się wydania broni. Ludzie wołali: rząd wzywa do obrony republiki, dajcie broń! Ale Guardia Civil o niczym słuchać nie chciała. Nie daliśmy broni — mówiła — nie damy. Wtedy ulicami Huelva przeszła demonstracja. Już wszyscy wtedy wiedzieli, że republika wzywa do obrony reform i zdobyczy ludu pracującego, że to, cośmy otrzymali, jest w niebezpieczeństwie. Odbył się wielki wiec, a po wiecu ludzie znów poszli pod koszary. Wyszli komendant i widzi, co się dzieje: całe miasto przed koszarami. Złakł się, więc zaczął grać na zwiłkę. Wybierzcie komisję — powiada — i wydam broń. Zebrani wybrali komisję, po jednym członku z każdej partii Frente Popular i komendant zaczął wydawać tę broń. Ale jaką? Wydał tylko fuzje i dwururki!

Tak uzbrojeni robotnicy uformowali kolumny, oddziały, ale wszyscy wiedzieli, że ta broń nie wystarczy. Z takiej fuzji najwyżej kożę można ustrzelić. Zaczęliśmy więc produkować granaty. Brało się blaszane pudełka po konserwach pomidorowych, napieniało się takie pudełko dynamitem, do tego doczepiało się lont. A dynamitu było u nas dużo. Przyjechały do Tharsis cztery samochody ciężarowe, a dynamit brało się z kopalni, bo tam strzelali pokłady dynamitem. Tak po raz pierwszy na oś się przydała własność Compañii. Ale nie tylko z Tharsis dostaliśmy dynamit. Również z Río Tinto górnicy — komuniści też przysłali nam dynamit i ludzi. Tak uformowani i uzbrojeni poszliśmy na Seville opanowaną przez faszystów, gdzie generał Queipo de Llano stał na czele spisku przeciwko republice. Ale co robi wówczas Guardia Civil? Idzie razem z republikanami na Seville, rozumiecie? Idą robotnicy, a z nimi idzie Guardia Civil z Huelvy i Tharsis. Ci wszyscy, którzy byli zawsze przeciwko robotnikom i biednym chłopom. Idzie z nimi komendant Aro z Huelvy i porucznik Murillo. Dołączają się do republikanów i chcą iść razem z komunistami przeciwko faszystom

Balszy ciąg w następnym numerze

SWIAT

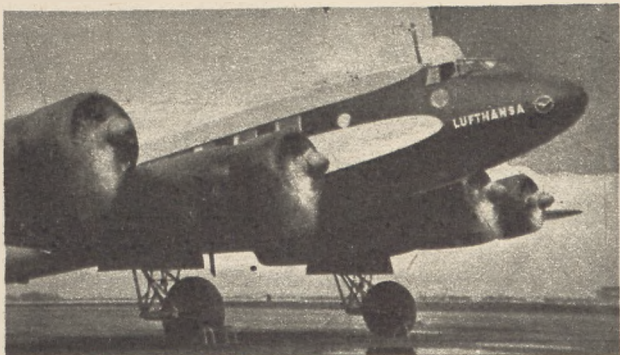
o tym wie!

LUFTAG = LUFTHANSA = LUFTWAFFE

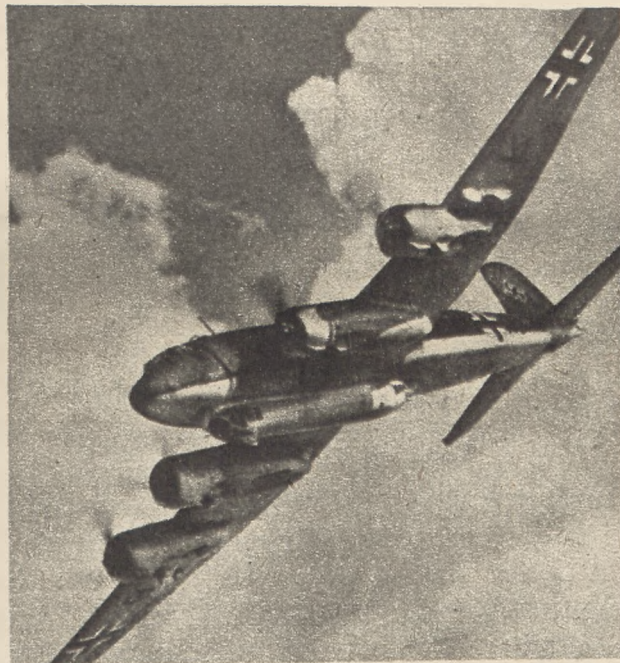
6 stycznia br. upłynął rok od daty założenia w Kolonii nowej „Lufthansy“, Towarzystwa Dla Rozwoju Komunikacji Lotniczej — „Luftag“. Po roku istnienia tego towarzystwa gazety zachodni Niemiec podają nader interesującą, choć najmniejszą cześć wiadomości: kapitał zakładowy „Luftagu“ wzrósł z 6 milionów do 25 milionów marek.

Nowe miliony marek wnieśli między innymi tacy akcjonariusze: Deutsche Bank, Dresdner Bank,

Commerzbank oraz zakłady Daimler-Benz, które w czerwcu 1933 roku utworzyły ze znanymi fabrykami samolotów bojowych Dorniera i Messerschmitta „Aero-Union“. Miliony są nowe, ale akcjonariusze to starzy znajomi z utworzonej w 1926 roku „Lufthansy“, która stała się bazą dla hitlerowskiego lotnictwa wojennego — Luftwaffe. Bo jak widzimy na zdjęciach — „cywilne“ samoloty „Lufthansy“ bardzo szybko stały się bojowymi maszynami Luftwaffe.



Tak wyglądał cywilny samolot Focke-Wulf 200.



A tak... bombowiec dalekiego zasięgu — Focke-Wulf 200.

SFAŁSZOWANY PRASZCZUR



Wiosną roku 1911 w Piltown Common, w południowo - angielskim hrabstwie Sussex, adwokat Karol Dawson, antropolog - amator odkrył czaszkę najstarszego prapra-pra-dziadka człowieka dzisiejszego. Przez 40 lat czaszka „człowieka z Piltown“ — pieczętowała

przechowywana w British Museum — uważana była za szczątki najstarszego człowieka świata. Wbrew opinii uczonych radzieckich naukowcy zachodni uparcie dowodzili autentyczności znaleziska.

Przeprowadzone ostatnio badania (na zawartość fluoru, co pozwala ustalić z jakiego okresu geologicznego pochodzą kości) zakończyły się odkryciem... fałszerstwa. Okazało się, że górna część czaszki „najstarszego Anglika“ liczy nie 500 tysięcy, lecz „tylko“ 50 tysięcy lat, szczątki zaś pochodzą od małpy zmarłej przed 50 laty i została jedynie sprytnie „wmontowana“.

Sfałszowane szczątki praszczura zostały usunięte z muzeum brytyjskiego.

ORGAN NIEBOSZCZYKÓW

Dziennik Polski

The Polish Daily News

Z DUMĄ ZAWIADAMIAMY O PRZYJĘCIU DO CZŁONKOSTWA

BALMAS-PIÓRKOWSKI
Home for Funerals
4451 EAST SEVEN MILE ROAD ... DETROIT, MICH.

„W Waszym dzienniku jest obecnie ogłoszenie „Order of the Golden Rule“.

„Co to dla Was oznacza? Oznacza to, że ta firma pogrzebowa kwalifikuje się jako członek w jednej z najbardziej szanowanych organizacji w tym zawodzie, organizacji, której celem jest podniesienie poziomu usług pogrzebowych, na których możemy polegać, że stosują się do zasady „Dobro dla siebie i dla innych“.

„Oznacza to także, że firma ta kwalifikuje się na członka, ponieważ posiada wiele lat doświadczenia, kieruje się wypracowanymi i sprawdzonymi zasadami, posiada nowoczesne urządzenia i personela, który jest całkowicie czysty, dba o szanownych klientów, posiada nowoczesne urządzenia, które nie są szanownymi klientami, ale po prostu szanownymi klientami, którzy chcą mieć w tej dziedzinie wyjątkowość, nie na papierze, ale w rzeczywistości kwalifikują się na członka tej organizacji.“

„Ciepło witamy każdego, kto chce dołączyć do tej organizacji, kierowanej przez znak „symbol“ — przedstawiciela organizacji — Organizacja ta, która publicznemu przedstawicielowi przysługują dla wszystkich członków tej organizacji, którzy kwalifikują się do członkostwa „Order of the Golden Rule“, lecz wszyscy członkowie tej organizacji są wyjątkowoymi pogrzebowymi.“

The Order of the Golden Rule

Spieszymy donieść naszym Czytelnikom o doniosłym fakcie, który wydarzył się w Detroit, USA. Donosi o nim miejscowy „Dziennik Polski“ w półkolumnowym ogłoszeniu, z którego wszyscy mogą się dowiedzieć, czemu firma Balmas-Piórkowski „z dumą donosi o przyjęciu do członkostwa“. O doniosłości tego wydarzenia świadczy i to, że pismo poświęciło mu również obszerną wzmiankę redakcyjną.

Liczne reklamy zakładów pogrzebowych na łamach „Dziennika Polskiego“ mogą Wam nasunąć wniosek, że pismo jest organem nieboszczyków i ma treść posępną. Otóż możemy Was pocieszyć, że tak nie jest. „Dziennik Polski“ jest bowiem również organem nieboszczyków politycznych. Produkują się tam co największe tuzy emigrandy sanacyjnej. A nad tym można się śmiać do rozpuku i cały dom rozweselić.

Stanisław Turowski i Syn
POGRZEBOWY
2 KAPICE—OBSŁUGA W DZIEŃ I W NOCY „AIR-CONDITIONED“
5158 SCOTTEN TY. 6-0810
NAPRZECIW PAR. WNIĘBOWIĘCIA

Zakład Pogrzebowy WUJKA
Edward A. Wujek, Dyrektor
NOWOCZESNE URZĄDZENY ZAKŁAD POGRZEBOWY
Słoneczna Złotych Kaplic na Uługi — Najlepsza obsługa w Miście
19301 VAN DYKE róg EMERY Tel. TW. 3-4034

URBAN-FRONTCZAK
ZAKŁAD POGRZEBOWY
Nowoczesne Urządzenia Dobre Złote Kaplice
„AIR-CONDITIONED“
NAJGRZECZNIEJSZA POLSKA OBSŁUGA W MIEŚCIE
5326 McDUGALL WA. 1-3209

Balmas-Piórkowski
Zakład Pogrzebowy
(opracowanie John's Funeral Home)
6051 E. Seven Mile Rd.
Twinbrook 2-0111

Jan Jurkiewicz i Synowie
POGRZEBOWY I LICENCJONOWANI BALSAMATORZY
Nowoczesny Zakład Pogrzebowy—Najlepsza Obsługa w Miście
Dobre Złote Kaplice—„Air-Conditioning“—Organ w Kaplicy
3306 CANIFF róg BROMBAUM Tel. 1-2290, Tel. 1-2298



Żabieta Garyszewska — rolnik z Zielonej Góry. Oduje trzodę chlewną, drób i krowy. Od dawna bierze udział w konkursie hodowlanym

Otylia Augustyniak z Miechowskiego jest hodowcą trzody chlewniej i krów. Osiąga doskonałe wyniki. Plan dostaw wykonała z nadwyżką. Otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi.

WZOROWE GOSPODYNIE

Rys. Julian Żebrowski

W Warszawie obradowały na ogólnokrajowej naradzie kobiety wiejskie — proudujące hodowczynie. Większość z nich — to laureatki konkursu hodowlanego ZSch. „Partia i Rząd pokładają w nas nadzieję, że będziemy wzorowymi hodowczyniami, nie ustaniemy w pracy nad podniesieniem na wyższy poziom rolnictwa i hodowli. Naszą postawą wykażemy, że jesteśmy godne tego zaufania” — głosi m. in. apel podjęty przez uczestniczki narady.



Amara Piekarska — wzorowy hodowca, propagatorka konkursu hodowlanego. Plan dostaw wykonała z nadwyżką. Otrzymała Złoty Krzyż Zasługi



Helena Reszka, gromada Zagaje, woj. zielonogórskie, prouduje w hodowli trzody chlewniej oraz drobiu. Została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi.

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE
R. Kofman



Mat w 3 posunięciach

PARTIA NR 98

grana w półfinale XXI mistrzostw ZSRR

Obrona Nimcowicza

Białe: A. Lillenthal
Czarne: W. Simagin

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4. e2—e3 0—0 5. Gf1—d3 c7—c5 6. Sg1—f3 b7—b6 7. 0—0 Gc8—b7 88. Sc3—a4!

Nowość. Dotychczas grywało tu najczęściej 8. a3, co jest jednak słabsze, np.: 8. a3 G:c3 9. b:c3 Ge4 10. Ge2 Sc6 (Najdorf-Smysłow, Zurich 1953) z dobrą grą czarnych. Posunięcie w tekście zmusza czarne do bicia na d4.

8... c5:d4 9. a2—a3 Gb4—e7 10. e3:d4 Sf6—e4
Walka o punkt e4 jest właściwym planem gry dla czarnych w tym debiucie.

11. Hd1—e2 f7—f5 12. Sd4—c3 Poważna niedokładność. Należało grać 12. b1 i 13. Gb2.

12... Se4:c3 13. b2:c3 Ge7—d6! Nie pozwala na 14. Gf4

14. a3—a4 Hd8—e8 15. Sf3—e5 Sb8—c6 16. Se5:c6

Zło konieczne. Po 16. f4 Sa5 i 17... Wa8 miałyby białe kłopoty z pionem c4.

16... Gb7:c6 17. Gc1—a3 Gdb: a3 18. Wa1:a4 d7—d6 19. Wf1—e1 e6—e5!

Czarne poświęcają piona, w zamian za co uzyskują inicjatywę.

20. d4:e5 He8—g6 21. f2—f4 Lub 21. f3 d:e5 i nie wolno 22. H:e5, bo 22... Wa8.

21... Wa8—e8 22. He2—f2 Znacznie większe szanse na obronę dawało 22. Wa2.

22... d6:e5 23. f4:e5 Po 23. W:e5 Hd6 traciły białe figurę.

23... Gc6—e4! 24. fd3—f1 Teraz czarne odbierają piona utrzymując pozycyjną przewagę. Trochę lepiej wyglądało 24. G:e4 f:e4. 25. Ha2, choć i w tym przypadku położenie białych było bardzo ciężkie.

24... We8:e5 25. a4—a5 f5—f4 26. Wa3—a1 We5—g5 27. Kg1—h1 Ge4—c6 28. a5:b6 a7:b6 29. Wa1—a6 f4—f3 30. g2—g3 h7—h5 31. Wa6:b6 h5—h4 32. Wb6:c6

Białe oddają jakość, aby odeprzeć groźby przeciwnika; to jednak nie pomaga. Po 32. g:h4 wygrywało natychmiast 32... Wg1+ 33. H:g1 f2+ itd.

32... h4:g3 33. h2:g3 Przerzywało też i 33. W:g6 g:f2 34. Wle6 Wa5! (35... Wfa8 36. c5!) 36. h3 (36. We6 We1) We1 37. Kh2 W:f1 38. Kg3 Wh1 39. K:f2 Wh2+ itd.

33... Hg6:c6 34. Gf1—h3 Wg5—h5 i białe poddały się. Pięknie przeprowadzona przez Simagina partia.

Droży Czytelnicy!

LIST MIŁOŚNIKA GÓR

„W związku z artykułem ob. Woysznis-Terlikowskiej „Widowisko Tatrzańskie” pragnę dorzucić swoje „trzy grosze”.

Dobrze, że pojawił się taki artykuł, bo źle jest, jak się tylko narzeka po kątach i to w dodatku albo nie wiadomo na kogo, albo — co gorzej — na „takie teraz czasy, moja pani”. Ze w schroniskach tatrzańskich jest źle — to wiedzą wszyscy mający oczy otwarte. Do zarzutów które podniosła ob. Terlikowska, można dodać jeszcze inne. Do najpilniejszych może należeć kwestia ceny za nocleg, która jest niewiarygodnie wysoka!

Autorka ma zupełną rację narzekając na biurokrację „godzin” wydawania posiłków. Dla ilustracji: widziałem scenkę na Kasprowym, gdy jeden z naszych profesorów wyższej uczelni chciał po długim marszu przez grań Czerwonych Wierchów dostać coś do picia — kelner, który wreszcie otworzył drzwi (był to sierpień, godzina 7 wieczorem), odmówił podania nawet szklanki wody(!!) mówiąc, że restauracja już nieczynna.

Powtarzam, było to na szczycie Kasprowego!! I zmęczony profesor, po całym upalnym dniu, musiał jeszcze godzinę wytrzymać bez picia, aż do Hali Gąsienicowej. To są sprawy po prostu nie do wiary — a spowodowane tym, że w górach sędzą „urzędnicy”, a nie ludzie gór, że kelner, który wyjeżdża i zjeżdża kolejką na Kasprowy, uważa swój „lokal” za otoczoną domami knajpę, a nie schronisko. Jest źle, coraz gorzej i chcemy wiedzieć, kto to są te „Janosiki”. Tylko nie mówcie nam o „kolektywie”, który tak postanowił, nie powołujcie się na „przepisy” i ustawy, których rzekomo nie można zmienić. Wykażcie troskę o człowieka, przeprowadzając samokrytykę i uzdrawiając coraz bardziej niezdrowe stosunki w schroniskach.

A teraz sprawa druga. Wycieczki masowe, kierowane przez przewodników PTTK, idą tymi samymi szlakami, zwiedzając nie góry, a urządzenia turystyczne! Wyjazd na Kasprowy i Gubałówkę „załatwia” wycieczkę. Ze nie daje to ani części wrażeń zwykłego spaceru w dolinki reglowe, że jest to oglądanie Tatr dosłownie z tramwaju — nie trzeba nikomu, znającemu zagadnienie, tłumaczyć. Chyba że chodzi o to, by nie powodować zaburzeń w organizmie przez dopływ świeżego powietrza. Bo powietrze na placu przed kolejką w Kuźnicach, gdzie spędza wycieczka nieraz i 4—5 godzin — nie różni się chyba niczym od powietrza w mieście przemysłowym! Pytałem przewodników PTTK, dlaczego tak są układane trasy? Odpowiedź: Spróbowałibyście poprowadzić ich gdzie indziej — awantura gotowa z protestem w prasie, zwiazkach i nie wiadomo jeszcze gdzie. A zatem winna jest głównie prasa, która rozpisuje się szeroko o wszelakich kolejkach, a nie potrafi wzbudzić zainteresowania górami!

Ale widzę, że moje zamierzenie na kilka zdań wypowiedzi rozrastają się nadmiernie, więc kończę życząc Wam więcej tego typu artykułów oraz, w co nie wątpię, skutku ich alarmu. Łączę gorzkie pozdrowienia dla Redakcji i Autorki.

Dr G. M.

O BEZPIECZENSTWO WSZYSTKICH NARODÓW

DO KOŃCZENIA ZE STR. 2/3

ty obronnej” i „paktu atlantyckiego”, a w konsekwencji zmusiłoby żołnierzy amerykańskich i angielskich do wyjęcia z Francji.

I przeciwko tej ostatniej konsekwencji zaprotestował p. Bidault jak najostrzej, bo to pozbawiłoby go przecież wszelkich szans robienia we Francji jakiegokolwiek dalszej kariery politycznej.

Trzecim mówcą był zbliżający się do premierowskiego w Anglii wieku p. Anthony Eden:

„Żałuję, iż muszę stwierdzić, że propozycje pana Mołotowa nie nadają się do osiągnięcia celu, dla którego przybyliśmy do Berlina”.

Ponieważ minister Eden mówił już poprzednio wielokrotnie w imieniu p. Dullesa i p. Bidault, słowa jego należy rozumieć jako stwierdzenie, że wszyscy ci trzej przedstawiciele kilku tysięcy najbogatszych rodzin w świecie nie przybyli do Berlina dla ułożenia planu zbiorowego bezpieczeństwa narodów Europy i świata, lecz w zupełnie odmiennych celach.

Wtedy zabrał głos ponownie minister Mołotow i zapisał wprost:

„Chciałbym wiedzieć, czy samą ideę zbiorowego bezpieczeństwa panowie przyjmujecie czy odrzucacie?”

I wtedy trzej ministrowie mocarstw zachodnich, którzy odrzucili propozycje ministra Mołotowa, poprosili o parę dni namysłu i zgodzili się na prowadzenie dalszej dyskusji nad tą sprawą.

Dlaczego tak uczynili? Dlatego, iż zdali sobie sprawę, że jeśli odpowiedzą na to zasadnicze pytanie ministra Mołotowa, że są przeciwko zbiorowemu bezpieczeństwu narodów, a za zbiorowym ryzykiem nowych kapitalistycznych imperialistycznych wojen — wówczas skompromitują się totalnie przed opinią całego świata.

EDMUND J. OSMANCZYK

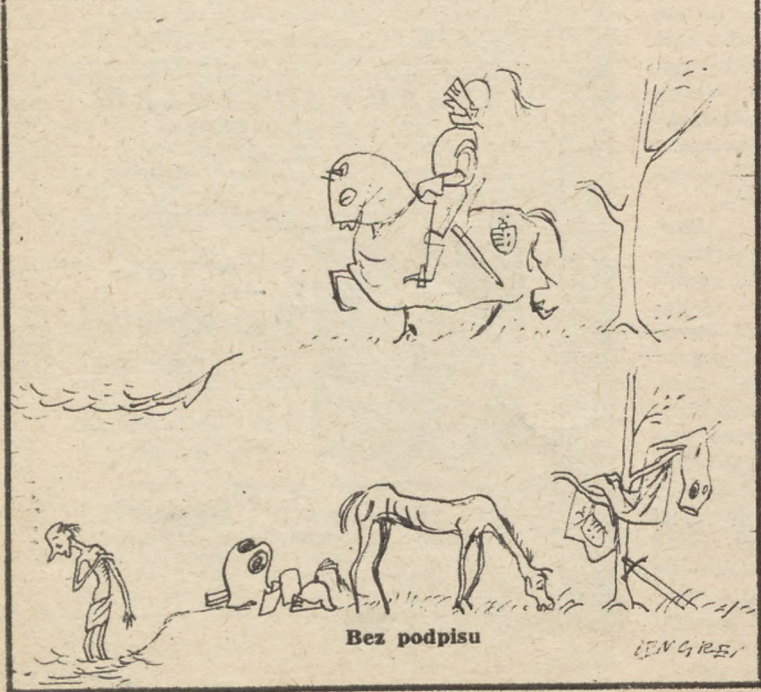


TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wilejska 12, tel. 6-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 80. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-11580
podpisano do druku dnia 17.II.54 r.

LENGREN



Bez podpisu



Mały Kazio zawsze osobiście wpłaca pieniądze na swą książeczkę PKO. W ten sposób matka przyzwyczaja go do systematycznego oszczędzania.



....prawda, że mi do twarzy w tej sukience - fartuszu? Bardzo lubię kratki i białe wypustki. I nawet nie trzeba specjalnie na nią uważać — bo kreton doskonale się pierze...

TANIO i ŁADNIE

Fot. JAN KOSIDOWSKI

Chcecie być dobrze ubrani na wiosnę? Szykujcie się do tego już w lutym.

Tę słuszną zasadę realizuje „Spółnota Pracy”. Na „Pokazie-Targach” w Domu Rzemiosła w Warszawie przedstawiciele handlu detalicznego z całej Polski mieli w czym wybierać: 500 najróżnorodniejszych modeli dla dorosłych — od płaszczy, kostiumów, sukienek, wiatrówek, garniturów — aż po estetyczne podomki i stroje plażowe, no i — nareszcie! — ogromny wybór (700 modeli) odzieży dziecięcej dla osób w wieku od... zera do 15 lat. Moda obowiązuje bowiem również niemowlęta.

Każdy z zaprezentowanych modeli można mieć z jednego z 500 rodzajów materiałów o szerokiej gamie kolorów i deseni.

Przedstawiciele handlu detalicznego żywo dyskutowali nad każdym modelem — od razu na miejscu zawierali transakcje, wybierali tkaniny, robili zamówienia. Wszyscy bez wyjątku zgodnie chwalili zarówno wczesne rozpoczęcie starań o zaspokojenie potrzeb rynku wiosenno-letniego, jak i różnorodność modeli — ładnych, praktycznych, niedrogich. Ale...

Spółdzielczość przemysłowa i rzemieślnicza nie przełamała jeszcze wątpliwości płynących z nie zawsze przyjemnych jak dotąd doświadczeń odbiorców: czy zamówione towary dostarczone będą na czas, w pełnym asortymencie i ilości? Czy oczekiwane modele — starannie zaprojektowane i wykonane — dotrą do sklepów detalicznych w należytym stanie?

Miejmy nadzieję, że tak.

W. M.



Patrzcie jakież to ładny jedwab w te nieśmiertelnie modne groszki. Kolor — do wyboru. A w tym miłutkim, choć skromnym fasonie z białym plikowym kołnierzykiem będzie się wyglądało na pewno o... lat młodziej



....moja sukienka też jest ładna. Te ciemniejsze lamówki na jasnym kretonie — to naprawdę dobry pomysł...

....to biore stanowczo — i tamto też... — dystrybutorzy wybierają odzież dla dzieci. Po raz pierwszy produkuje się na szeroką skalę estetyczne kombinezonki, śpiwory i — rzecz niemałej wagi — nieprzemakalne majteczki



nasze gospodarstwo

Z ZEGARKIEM W RĘKĘ

...mówicie, że to wykluczone, że to są szatańskie sztuczki? Że w ciągu pół godziny nie można zrobić obiadu? Otóż przekonam was. Zrobię obiad z trzech dań: będzie zupa z makaronu jajecznego ze śmietaną, kotlety smażone z sałatką ziemniaczną i wafle z marmeladą. Proszę: jest w tej chwili godzina...



Zaczynamy. Stawiam na pełnym gazie czajnik z wodą; to się zawsze przyda. Makaron łamię na krótkie kawałki, zalewam go na 10 minut zimną wodą (prędzej się ugotuje), potem odlewam, zalewam gorącą wodą, solę, stawiam na ogniu. Kiedy będzie miękki, wody nie odleję, tylko dodam śmietany i wsypię drobno usiekaną zieloną pietruszkę. Zapewniam was, że to doskonała zupa. Na kotlety kupiłyście zmielone mięso, zdradzę wam tylko sekret nadający im pulchność: zamiast bulki moczzonej w cieplej wodzie, dodajcie kilka łyżek ciepłej wody i łyżeczkę kartoflanej maki. Smażycie na smalcu czy margarynie, ale

po usmażeniu podłóżcie kawalek surowego masła, będą wyborne! Sałatkę zróbcie z paru wczorajszych gotowanych kartofli, jednej surowej cebuli, jednego jabłka, wszystko pokrajane w plasterki, dodajcie lekkiego octu, oleju, szczyptę soli i cukru. A teraz deser. Cztery duże okragłe wafle posmarujcie marmeladą, złóście, pokrajcie na trójkątne kawałki i posypcie cukrem pudrem. Obiad w ciągu pół godziny zrobiony? Tak! Proszę spojrzeć: która godzina?



SKĄD BRĄC WITAMINY

Przedwiośnie, to piękny czas. Ale ma też i swoje „ciemne strony”: ubogi jest w owoce i młode jarzyny, a tu organizm gwałtem domaga się witamin. No cóż — możemy bez kłopotu te wymagania zaspokoić. Uwaga — gospodynie domowe:

Zakwaszajcie potrawy nie octem, lecz kwasami naturalnymi: kwasem z buraków, z żytniej maki, ogórków, z kwaszonej kapusty. Przy tym róbcie to już po wykończeniu potrawy, tak, aby jej nie gotować, bo wtedy witaminy

tracą wartość. Co dzień do obiadu podawajcie niedużą porcję surówki: z utartej marchwi i jabłka, z ugotowanych ziemniaków i surowej cebuli, z selerów, cykori, a przede wszystkim z kwaszonej kapusty. Skromna kwaszona kapusta zawiera aż 4 witaminy: A, B, C i D.

Dla smaku surówkę możecie doprawić olejem, żółtkiem utartym z olejem czy śmietaną. Do kapusty dodajcie cukru.

Do zup wsypujcie drobno usiekaną zieloną pietruszkę. Wszystko to łatwe i nieskomplikowane, prawda? A wyjdzie wam na pewno na zdrowie.

A MOŻE SIĘ WAM PRZYDA...?

Czy wiecie, jak należy obchodzić się z zabłoconym obuwem, aby skóra nie pękała i miała połysk? Po powro-

cie do domu włóżcie wygodne domowe pantofle, ale nie zostawiajcie zabłoconych butów „do wyschnięcia”. Natychmiast przetrzyjcie wierzchy i podeszwy wilgotną szmatką do czysta, potem drugą, suchą, zbierzcie zbędna wilgoć. Włóżcie buty na papier lub wypchajcie zmietnym papierem i postawcie w cieple, byle nie blisko pieca. Po kilku godzinach wycyście je pastą. Zobaczycie, jakie będą lśniące i miękkie!



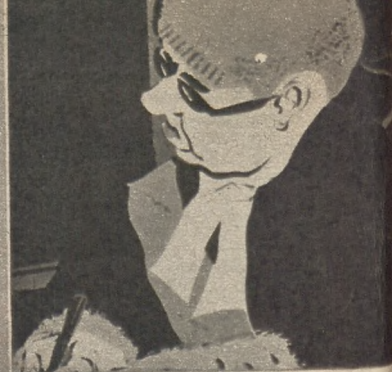


FRANCJA — Lorjou Bernard: Drapieżne ptaki

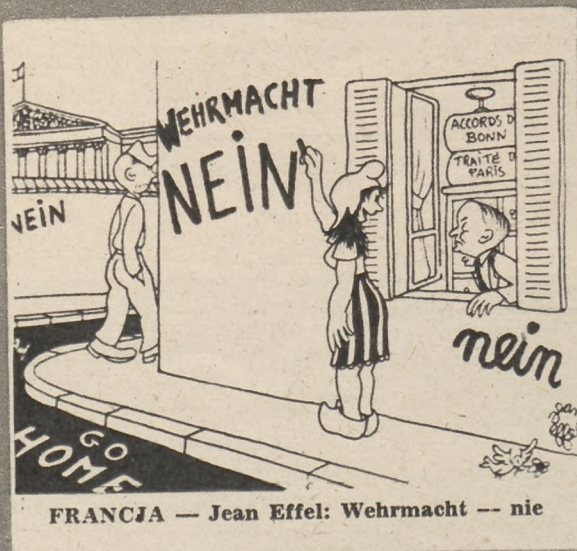
OREŻ W WALCE

Z WYSTAWY PRAC

POSTĘPOWYCH ARTYSTÓW PLASTYKÓW



ANGLIA — Carr Francis: Lord sędzia przyjmuje zeznanie



FRANCJA — Jean Effel: Wehrmacht -- nie



ARGENTYNA — Vigo Abraham R.: Pod murem



DANIA — Bidstrup Herluf: Znawcy sztuki



STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI POŁN. — Praca anonimowa: Obcy agent



BELGIA — Deltour Louis: Zdrójca Van Coppenholle na wolności — nasi żołnierze w więzieniu